W GRUDNIOWE DNI.

NOWELLA

PRZEZ

autora „Plotek i Prawd.“

Mieczysław Pawlikowski

wydanie w 100 egzemplarzach.

Odbitka z Ateneum r. 1881.

WARSZAWA.
Druk K. Kowalewskiego, Królewska Nr. 23.

1881.

W GRUDNIOWE DNI.

NOWELLA

PRZEZ

autora „Plotek i Prawd."



Odbitka z Ateneum r. 1881.

WARSZAWA.

Druk K. Kowalewskiego, Królewska Nr. 23.

1881.



Дозволено Цензурою
Варшава, 15 Іюля 1881 года.

W GRUDNIOWE DNI.

NOWELLA.

SEWEROWI
z serdeczném podziękowaniem
za „Przybłędy" przesyła
AUTOR

I.

Czy drzemie staruszka?

Któż odgadnie? U niéj marzenie tak do snu podobne, sen jéj tak podobny do śmierci.

Powieki wpół przymknięte, na ustach uśmiech pełen słodyczy i smutku.

Na twarz jéj bladą, od czasu do czasu jaskrawym odblaskiem pogrzebowych pochodni padają płomienie kominkowego ognia. Z odgłosem świeżo wyciosanéj trumny, schnącéj na słońcu, mokra świerkowa kłoda paczy się i pęka od żaru. Zasyczą w niéj czasem skwarzące się soki żywotne i znów rozpęka włókno drzewne z głośnym strzałem, sypiąc do koła iskrami. Iskra każda chwilkę w powietrzu żywiéj zaświeci, jakby myśl w głowie konającego człowieka, zaświeci jak rodząca się gwiazda—i zgaśnie na wieki.

Czerwone pół światła, półcienie, drgają naprzemian po zmarszczkach nieruchoméj twarzy, bawią się siwym jéj włosem, złocą go i srebrzą i przywracają mu czasem kruczy połysk młodości. W różowych przebłyskach żaru, przezrocza tkanina muślinowych szlarek jéj czepca zdaje się zmieniać na jedną sekundę w girlandę róż.

Jak jéj z tém ładnie!... Jakby jakie wnuczęta figlarne, tak ją stroją figlarne gnomy i kobolty płomyków. Któżby ją stroił inny w jéj samocie? Huczy zamieć śnieżna na dworze, zmarzłemi grudkami śniegu bije w wąskie okna dworku.

I cisza zresztą—głucha cisza, tylko ten szum wichru i to małych szybek dzwonienie i to sykanie i skwirczenie wilgotnego drzewa na ognisku i niekiedy huczny wystrzał pękającéj kłody.

Te gnomy ogniska—one to może staruszkę rozerwać chcą temi głosami? one to może zmówiły się z elfami w śniegowéj bujającemi zamieci i rozmawiają tak z sobą nawzajem: niestrudzone w zabawie i dzwonią i trzaskają z biczyków jak drobna dziatwa—i jakby rozswywolone chłopięta rzucają w szyby okien gałeczkami lodu.

Poczciwe duchy! jak one znają serce człowieka! Jak one zająć umieją mu myśl w długich, nieznośnie długich godzinach tęsknoty! jak one wiele powiedzieć umieją pół słówkiem, pół dźwiękiem, półszeptem.

Poczciwe duchy! jak one pocieszyć umieją tych, dla których przyszłość martwym jest wyrazem! jak one wiedzą o czém z kim rozmawiać! jak one wskrzesić umieją zapadłe w niepamięć czasy, zamierzchłe niepowrotnie radości, zachwyty i szczęścia!

One przemawiają do serca ludzkiego wspomnieniem!

A żywo wspomnieć—to jakby odetchnąć raz jeszcze wonią lubego kwiatu, który nam z rąk wyrwano...

Inaczéj uśmiecha się człowiek gdy o przyszłości marzy, inaczéj wcale gdy duch w błogiém wspomnieniu zatonie.

Patrzcie! w jéj uśmiechu nie ma niepokoju oczekiwania i dreszczów nadziei. Jéj uśmiech—to spokój.

Ona wspomnieniem oddycha—wspomnieniem młodości... A młodością dla starca przeszłość szczęśliwa, niepowrotna. I chwile szczęścia, które błyskały niegdyś, choćby na czole siwym już nawet osrebrzoném włosem—to także wspomnienie młodości.

Cicho. Podniosła się nieco w poręczowém krześle. Wyciągnęła rękę niepewnym jakimś ruchem przed siebie, jakby szukając po omacku jakiegoś przedmiotu na małym, krągłym stoliczku ustawionym tuż obok jéj podnóżka.

Lekkiem z góry dotknięciem drżących palców, jak to czynią ślepi, poruszyła po kolei każdy przedmiot leżący na stoliku: szklankę z jakiemiś ziółkami, srebrną cukierniczkę, flakonik porcelanowy i małą w czarnych ramkach fotografią.

Wzięła tę ostatnią ostrożnie do ręki, ale nie poniosła ją do oczu, tylko drobną swą dłonią przykryła, końcami palców dotykając wizerunku, tak jakby przez taflę szklaną odczuwała magnetyczném palców dotknięciem utęsknione rysy portretu.

Żywszym wyrazem smętnéj jakiejś lubości rozjaśniło się oblicze staruszki. Ktoby niewiedział że to niewidoma, patrząc na nią w téj chwili, byłby pewnym że widzi.

A ona tylko czuje.

Ona widzi zaiste, ale tylko swéj duszy oczyma — mówiąc z Szekspirem.

Nieprawdaż? śmieszny to sentymentalizm w tym wieku prozy i realizmu! tém śmieszniejszy, że go popełnia sześćdziesięcioletnia staruszka, tém śmieszniejszy, że go nie wśród ludzi popełnia, którychby chciała zjednać dla siebie takim przestarzałym romantyzmem, ale sama wobec siebie tylko... i wobec tych fantastycznych na kominku płomyków i téj zamieci śnieżnéj zaglądającéj do izby przez skrysztalone mrozem okienko... i wobec téj fotografii w jéj ręku. Odłóż czytelniku na bok tę sentymentalną nowelę. Tu nie ma prawdy...

O, ja ci zaręczam, że prawda. Pomyśl, że to nie dzisiejszych czasów niewiasta, ona sięga urodzeniem pierwszych dziesiątków naszego stulecia...

A kiedyś, kiedyś, na starość... gdybyś doznał wiele szczęścia w życiu i kochał i płakał na ukochanych grobie i znalazł się wreszcie samotny, niewidomy, w odludnym karpackim jak ona dworku i sam się uczuł ze wspomnieniami swemi... kto wie? kto wie czybyś nie przestał śmiać się, gdyby ci wtedy przyszła na myśl przeczytana w młodości nowela .. Kto wie?

Dziś się śmiej.

Biedna moja staruszka da ci więcéj jeszcze powodów do śmiechu.

Patrz, wsłuchała się ślepa marzycielka w to pękanie mokréj świerczyny na kominku, w tę muzykę bijących w okna śniegowych grudek—i jakimś dawnym rytmem dzwoni jéj w duszy wspomnienie... Rękę przyłożyła do czoła jakby coś lepiéj przypomnieć sobie chciała a usta poruszają się mimowiednym szeptem miarowych słów w pamiętne sercu ujętych rymy...

Zrazu szept cichy—i głośniéj—głośniéj... wiersz jakiś powtarza z pamięci... Jakie to śmieszne!

Żywszy płomień buchnął na kominku—blaski rozlały się jaśniejsze po całéj izbie. Przystroiły resztki starożytnych mebli, świetniejsze mieszkanki przypominających czasy. Ozłociły brązowy postument starego zegaru z kurantami, z orłem dławiącym węża w swych szponach; prześlizgnęły się po półkach wytwornie oprawnych książek, odbiły się w szerokich ramach portretu wiszącego na przeciwległéj ścianie: portret młodéj niewiasty—ach, jakże piękné!!

Rzecz dziwna jak nam ten portret znajomym się wydaje. Przypomina kogoś, gdzieś widzianego—na jawie czy w wyobraźni...

Ach, to portret staruszki naszéj!...

A ona mówi—cicho zrazu... i coraz głośniéj... i z coraz większém uczuciem, tak, że dźwięk rzewny jéj głosu barwi i stroi w poezją prawdziwą, tuzinkowy wierszyk:

— Pamiętasz, kochanie ty moje
Nasz pierwszy po ślubie ranek?
I sadem rozkwitłym jak szliśmy oboje?
I co ci mówił kochanek?

Pamiętasz tę jabłoń w ustroni
W dzień pierwszy twego zamęścia?
Wiatr pruszył nam głowy kwiatami jabłoni...
Pamiętasz Luba dzień szczęścia?

Wtedy kochana, kochająca,
Jak wiosna pełna młodości,
Tyś coś mówiła, jakby z nocy tysiąca,
O naszéj przyszłéj starości.

I chciałaś, by razem oboje,
Jak wichrem zerwane kwiaty,
By kiedyś staruszków—kwiatuszków nas dwoje
W nadziemskie wzleciało światy...

...Patrz, zamieć dziś sroga, śnieg pruszy,
Włosy nam starość spruszyła:
Czyś taką ty niegdyś, w młodziutkiéj twéj duszy,
Czyś taką starość marzyła?..

Zegar zaczął grać kuranta. To południe.

II.

Ach, jakież śniegi na podgórzu karpackiém!

Jaki czas! co za zadymka straszliwa! Mróz kilkunasto-stopniowy a wicher przytém łamiący drzewa po drodze, z nóg wali ludzi przechodzących w poprzek drogi we wsi, od chaty do chaty, przenika ich na wskróś do kości.

Cóż to się dziać musi z tymi, którychby ta zawierucha w czystém polu gdzie spotkała! Ulituj się nad nimi!

W czystém polu? He, któżby się to puścił w drogę o takiéj porze? Chyba szaleniec jaki.

Kto jednak wie? Zawierucha taka zrywa się nagle, nieraz niespodzianie, każdego zaskoczyć może, najostrożniejszego nawet.

Psy naszczekują ode wsi, przytłumiony ich głos i jakby trwożny chowają się pewno każdy gdzie który może, tulą się pod strzechą, do

ściany stajen przylegają bokiem, skąd szparami ciepło na nich wieje. Psa wypędzić na dwór żal człowiekowi a cóż dopiero człowieka.

Zmrok już zapada. Od trzech godzin już gorzéj niż zmrok zwykły, bo ciemno od chmur i zadymki. Ale coraz już ciemniéj: teraz to pewnie już zmrok.

Za wsią wzgórze za wzgórzem, a każde do drugiego podobne. A wszystkie zasute śniegiem na łokieć, na sążeń gdzie niegdzie. Drogi nie dojrzysz na trzy kroki, nie rozpoznasz jéj, choćby ci zadymka oczu nie ćmiła, wiatr zimny powiek nie zamykał. Biało i biało wszędzie, śnieg i śnieg równo rozpostarty jak biały obrus, ani śladu na nim, ani znaku.

Tu i owdzie czerni się kilka lub kilkanaście wyniosłych świerków, wiatr niemi miota gwałtownie, uginają się na prawo i na lewo, to w tę to w ową stronę: w stronę wichru chylą się gwałtowniéj, skrzypią złowrogo jakby przełamać się miały i prostując się siłą spreżystych włókien, chylą się znów w drugą stronę i skrzypią—głucho—jęczą niby...

Może to człowiek jaki zbłąkany zapadł w śnieżną zaspę i jęczy tak?

Drogoskaz!... ah, jest droga! chwałaż Bogu! tędy, na prawo... Poczciwe biedne konięta, one ją odnalazły, człowiek napróżnoby jéj szukał. Puścił chłop wodze koniom i zdał się na ich instynkt a sam, przytuliwszy się do swéj kumy, osłania własném ciałem od wichru nowonarodzone niemowlę na jéj ręku, owinięte w pieluchy. Woził je do chrztu świętego do parafialnego kościola, dwie mile tam, dwie mile z powrotem... Czy je żywe zawiezie do domu? czy sam żyw powróci? któż wie, kto wie?

Pięć godzin temu jak wyruszył z domu i pocałował w chałupie matkę swego dziecka. Nie zanosiło się wtedy na tak wielką biedę. Mróz był straszny ale zadymki nie było. Trzeba było jechać—bo nużby dziecko umarło i duszyczka poszła do piekła: strach pomyśléć! Trzeba było jechać.

— A niech się nazywa Marynka!—rzekła mu żona na odjezdnem. I podniosła się nieco z pościeli i przyciągnęła kumę do siebie, trzymającą już niemowlę na ręku i pocałowała swoję jedynaczkę. — A niech się nazywa Marynka! — powtórzyła proszącym głosem. — A nie dajcież jéj zamrzéć z głodu i zimna!.. oj, mnie bardzo źle, Józku! ja was tu może nie doczekam... A niechże się nazywa Maryna, jak ja!...

Ale proboszcz nie dał się uprosić. „Cóż to, rzekł, w waszéj wsi same tylko Maryny mają być? Dość już tego. Już u was sześć

Maryn tego nazwiska. Bałamuctwo w metryce i koniec. Niepozwolę.“
I ochrzcił ją Hanka.

— *Hanka!* hej, hej, kumo, cóż ja żonie powiem jak mnie zapyta?... Ona pomyśli, że ja ją tak nazwał od téj Hanki... co to wiecie...

— A jużci wiem. A jużci pewnie tak pomyśli.

— Jezu! ta niechby umarła, niechbym ją żywą do domu nie zawiózł!...

— I na wpół pijany ojciec zaczął zawodzić ochrypłym głosem nad nieszczęsną Hanką—ale przysunął się jednak bliżéj do kumy, aby dziecko od wichru osłonić.

— Dajcież pokój! Niewiecież że to grzech życzyć śmierci własnemu dziecku... Żeby cudzemu jeszcze... ale to do was takie podobne...

A Józek zamiast odpowiedzi uśmiechnął się i wyjął z zanadrza flaszkę wódki, napił się sam, dał się napić kumie a potém dziecku do drobnych usteczek wycisnął parę kropel z bibuły, którą zamiast korka zatkana była szyjka butelki.

I zjechały sanki w głęboki parów, pokryty kilkusążniową zaspą. Zadymka zaczęła się zmniejszać.

— Jezu Chryste! rany boskie! a to co? barania czapka... człowiek leży w śniegu!—hou! prr!...

I zeskoczył Józek z sani. W śniegu leżał, z twarzą w śniegu zarytą i na wpół już śniegiem przysypany człowiek w chłopskim kożuchu, w nowych butach z cholewami wysokiemi, z których wydobywała się słoma, ręce rozkrzyżowane w grubych dwupalczystych rękawicach z niebieskiego sukna, uwiązanych na sznurku do kożucha. Na plecach miał przewieszoną skórzaną torbę.

Józek zaczął go cucić.

— Hej, taż to Michał, ten ze dworu.

— Spił się pewnie...

Natarł go Józek śniegiem, potém wódką skropił—a gdy pijany zaczął dawać znaki przytomności, z pomocą kumy wyciągnął go na sanki. A niemogąc się już pomieścić w sankach po takiém zwiększeniu liczby podróżnych, na nim usiedli oboje.

— Wiu, wiu!—a biedne koniska ciągnęły co siły—pod górę, pod górę.

Co chwila to sanie zaryły się w śnieg, co chwila wyskakiwał Józek i pomagał koniom aby je wyciągnąć, a potém znowu jednym skokiem był już obok baby siedzącéj na nieruchomém a żywem jednak siedzeniu. Za każdym takim skokiem żywa ta kłoda przygnieciona ciężarem Józka, zgryźliwym stękiem dawała znać o doznawanych wrażeniach.

Dojeżdżali już na szczyt góry; znowu wicher się wzmagał, znowu gwałtowniéj szalała zadymka. Nagle usłyszeli za sobą głośny klekot dzwonków i ujrzeli najprzód dwa duże bułanki w chomątach i porządnéj uprzęży, woźnicę w płaszczu z futrzanym kołnierzem, podniesionym do góry—a za nim w szerokich saniach dwie kobiéty, jedną z twarzą zasłonioną woalem, w futrze i szafirowym szalem owiniętą, drugą zaś w porządnym wiejskim kożuchu i z kraciastą czerwoną chustą na głowie.

— Héj, człowiecze!—zapytał woźnica—czy dobrze tędy do Paprotki?...

— Dobrze!... prosto!...

— A od karczmy na prawo?

— Na prawo.

— A za mostem?

— Most zepsuty, jest tylko ława. Musicie objeżdżać, po pod las, hen-hen-koło figury.

— Bóg zapłać!

I rącze bułanki popędziły naprzód.

Oglądała się długo za niemi kuma—i za czerwoną chustą i za szalem niebieskim; westchnęła i rzekła wreszcie:

— Kumie, strasznie zimno! dajcie-no wódki.

Popił Józek sam z flaszki i podał kumie i odsłonił dziecko, aby mu do ust nakropić. Włożył mu palec w przetwarte usteczka, poruszył twarzyczkę z jednéj i drugiéj strony, pochylił się nad niém, aby je lepiéj oglądnąć, i przerażonym czas jakiś patrzał na nie wzrokiem...

— Oho, kumo!—zawołał wreszcie: Hanka już umarła!

— Co gadacie?... umarła?... Rany boskie!... A cóż *wasza* powie?.....

— Eh!—odezwał się po chwili Józek z ponurą rezygnacyą,—może i ona już umarła...

— Byłoby dwa pogrzeby na raz!

— Oj! oj!—zawodził chłop. Zkąd ja na to wezmę pieniędzy!... Dopiéro chrzciny, to znowu pogrzeb!... Łońskiego roku jak *stara* umarła, piętnaście *papierków* mnie to kosztowało!...

Wyciągnął sanice z zaspy i wskoczył na siedzenie.

— Uff!—stęknął Michał, oganiając się ręką bezprzytomnie.

III.

Potrącona w samotném sercu struna wspomnień wibruje i dźwięczy bez końca. Jak owa syrakuzańska grota, gdzie jedno le-

dwie dosłyszalne westchnienie tysiącem na raz odbrzmiewa westchnień, takiém jest serce. Niema w niém wspomnienia bez echa: niech jedno z cicha zadźwięczy, odpowie mu drugie i trzecie i tysiące na raz z dawna przebrzmiałych odzywa się głosów w dziwną spływając harmonję... w dziwny czasem dyssonans.

Trzy piekielne siostrzyce snuły grekom nić żywota. Lecz w miarę jak się nić ta rozsnuwa, zwija się druga: na kłębek ludzkiéj pamięci nawija się nić wspomnienia. Dusza ludzka—to otchłań: dość w nią rzucić ów kłębek zaklęty, nić wspomnień snuć się będzie bez końca. Splątana, zwikłana, nie rozgmatwa się nigdy, a snuje się, snuje...

Snuły się wspomnienia w siwéj głowie staruszki.

Nie wiele ich wiązało się z tym białym dworkiem w Paprotce, na karpackiém odludziu. Za życia męża, który zaszczytny urząd obywatelski piastował, mieszkali oboje w mieście, w stolicy. Z wyjątkiem najmłodszego syna pomarła im dziatwa w pierwszych dziecięctwa latach, a jednak dziwną swych myśli i uczuć związani harmonią, z pogodném czołem szli drogą zacnego żywota, kochający, szczęśliwi, spokojni, wesoło w przyszłość patrzący.

Majątkowe klęski nie zachwiały tego szczęścia. Mająteczek, w górach wprawdzie położony, ale zawsze dość znaczny i z trzech złożony folwarków, zmuszeni byli w większéj części rozprzedać, zostawiając sobie tylko folwark najmniejszy, o kilkudziesięciu morgach owsianego gruntu, z małym dworkiem mieszkalnym, samotnym, odległym od świata i bitych gościńców, o mil trzy oddalonym od najbliższéj poczty.

Cios padł wreszcie najcięższy. Niczém nieuzasadnionym obarczony zarzutem, zniewolony głosem publicznéj opinii, która wymagała, aby się pomścił za doznaną niesłusznie obelgę, podjął sprawiedliwy mąż rzuconą mu nikczemnie rękawicę i—zginął w pojedynku.

W przecudny, słoneczny poranek wiosenny, gdy cała przyroda ku nowemu zdawała budzić się życiu, uściskał żonę po raz ostatni, dwunastoletniego przywołał Władzia, podniósł go w górę i do serca przycisnął, ojcowski na czole złożył mu pocałunek. „Kochaj mamę!“ rzekł mu i złotowłosą jego główkę na kolanach jej oparł. „Kochaj go... bądź zdrowa!“ Łza błysła mu w oku, wyszedł i wrócił z drugiego pokoju z bukietem fiołków w ręku. Jeszcze całus jeden, gorący, serdeczny; bukiecik fiołków został w jéj ręku, syn na kolanach... jego już nie było.

I nie ujrzała go już więcéj.

Daremne łzy i rozpacze, próżny żal za straconym rajem. Nie wróci już, nie wróci. Syn pozostał. Syn! to wielkie dla matki słowo, to wielka dla nieszczęsnéj pociecha. I obowiązek to wielki.

Ustała wypłata mężowskiéj pensyi. Dochody nie wystarczały na najskromniejsze nawet utrzymanie w mieście, a tém mniéj na opędzenie kosztów starannego wychowania syna. Biedna wdowa oddała go w opiekę poczciwym ludziom, a sama przeniosła się na wieś, pod karpaty, aby choć jakietakie wyciągnąć ze szczupłego mająteczku dochody.

Nie wystarczały one i nie mogły wystarczyć na opędzenie wydatków. Zmniejszyła się wreszcie i ta scheda ojcowska młodego Władzia, i dla opłacania bądź-to dawniejszych długów, bądź takich które nieunikniona konieczność nakazywała zaciągnąć, odprzedać trzeba było sąsiadom kilkanaście i znowu kilkanaście morgów. Został dom i nieco więcéj nad trzecią część piérwotnego obszaru.

Pozostałe jéj własnością grunta wydzierżawiła chłopom, a sama na kilku morgach z dwojgiem sług utrzymywała tylko krów kilka i owiec. Dochody te wystarczały jéj do życia. Syn pomocy jéj już nie potrzebował. Ukończył fakultet filozoficzny uniwersytetu, sposobił się do zawodu profesora, a będąc poszukiwanym jako nauczyciel historyi i literatury, dawaniem lekcyj w zamożniejszych domach zarabiał tyle, że nietylko sam zapewnił sobie dostatnie utrzymanie, ale i matce nieraz dopomógł w kłopotach.

W ostatnich latach zwiększyły się były te kłopoty. Osłabły siły znękanéj wiekiem i smutkami i pracą kobiéty. Nie mogła dać już sobie rady nawet z drobném swém, prawdziwie miniaturowém gospodarstwem. Na domiar złego, oczy, na które od lat dawnych cierpiała, słabły zwolna coraz bardziéj, świat zewnętrzny mglił się coraz bardziéj przed jéj wzrokiem i wreszcie zupełne dla niéj pokryły go ciemności.

Strasznym niegdyś by to było dla niéj ciosem, dziś spokojnie go zniosła. Nie był on tyle strasznym, gdyż nie spadł na nią niespodzianie, lecz dzień za dniem nieznacznie coraz gęstsza zasuwała się przed oczyma zasłona. Nie był on strasznym, bo o los syna była już spokojną. Żyła—wspomnieniami i rozpamiętywaniem przeszłości.

Jako kobiéta rzadkiego wykształcenia, dla któréj książka była niegdyś niezbędnym chlebem żywota, cierpiała zrazu bardzo na téj niemożności rozczytywania się w ulubionych autorach, przeglądania mężowskich listów, wierszy i naukowych notatek. Późniéj jednak oswoiła się z tym tak dotkliwym zrazu brakiem, a szczególnie żywa i bogata jéj pamięć, dozwalała wysnuwać ze skarbu wspomnień

całe ustępy znakomitych naszych poetów. Na samotność najsroższą skazana, nie mając w pobliżu ani jednéj pokrewnéj duszy, na mil kilka dokoła nikogo, ktoby jéj list od syna przeczytał, długiemi nieraz godzinami czytała głośno... z pamięci...

Mężowskie listy i wiersze, do niéj po większéj części pisane, poznawała za dotknięciem ćwiartki papieru tak dokładnie, jak oślepła dewotka poznaje paciorek każdy swego różańca.

Czternaście lat wdowieństwa, zdala od towarzystwa wykształconych ludzi, sześć lat ślepoty samotnéj... cóż dziwnego że pani Anastazya wytworzyła sobie świat własny, nic ze światem ją otaczającym niemający wspólnego, świat wspomnień, w którym żyła poezyą własnéj przeszłości a podsycała życie zapamiętanemi utworami poetów. Cóż dziwnego, że świat ten jéj milszym był stokroć od martwéj, prozaicznéj obecności, że po dniach całych pozbawiona rozmowy z prozaiczném swém otoczeniem, za głosem ludzkim tęskniła i swą tęsknotę własnym nasycała głosem?

Trudniejszą byłoby może dla psychologa zagadką, czemu z każdym rokiem coraz bardziéj wyzbywała się jéj pamięć wspomnień z lat bliższych, czemu coraz bardziéj ożywiały się w sercu staruszki i coraz milszemi stawały jéj się odleglejszych czasów pamiątki... Macierzyńska miłość, która po śmierci ukochanego męża uratowała ją od rozpaczy i od zwątpienia w siebie i w przyszłość, to macierzyńskie do jedynaka przywiązanie, w którém zdawało się, że cała jéj skupiła się istność, w miarę jak syn ten wzrastał i mężniał, bladło coraz bardziéj wobec wspomnień młodości, wobec miłości ku ukochanemu zmarłemu. Miłość ta rosła w ubóstwienie, duszę uskrzydlała tęsknotą, życiem ją pojąc jakiemś mistyczném, nieziemską błogością, kultem się stając i jedynym życia pokarmem.

Czém się to działo?... pytajcie duszy tajemnic. One wam odpowiedzą,—ale wtedy dopiéro, gdy starość pochyli was ku ziemi, odpowiedzą wam rozmiłowaniem się waszém własném w młodzieńczych lat waszych uczuciach. Nie wiecie dziś, jak miłemi kiedyś jeszcze wam się staną wspomnienia, które dziś żadnéj mieć się wam nie zdają wartości...

IV.

. . . .

„Wszędzie! jam wszędzie w powietrznéj fali
Gdzie życia płomień tchnie!
I gdzie się akord dźwięków zapali!
I gdzie się w iskrę ciepło skrysztali"!...
——A Ona pyta: Gdzie?...

„Na wszystkich słońcach, na wszystkich światach,
I w każdéj ludzkiéj łzie,
W uśmiechach wszystkich i wszystkich kwiatach,
W proteuszowych kształtach i szatach.....“
——A Ona pyta: Gdzie?

„W własnéj twéj myśli jasnym promieniu
I własnéj duszy śnie,
We własném głosu twojego brzmieniu,
W własnego serca twojego drżeniu.....“
——Ach gdzieś ty, gdzieś ty, gdzie?...

— Ja tutaj, proszę jejmości!—odezwała się Kaśka, wchodząc z brzemieniem drzewa. Przyniosłam parę polan do komina, bo by mi jejmość zmarzła. Mróz, mróz okrutny! aż dusza w człeku marznie... A wicher-ci taki, że aż świerki jęczą... a gruszę tę nad sadzawką to złamało do szczętu... Byle strzechy nie zerwało!... jużci się ktoś powiesił, to jak dwa a dwa cztery... może ten rudy Jolko z Podsośnia, co go do kryminału wzięli za tę babę z koralami, co ją u niego w studni znaleźli... ej, żydzisko, żydzisko! dobrze mu tak!... Sprawiedliwość boska... Ale, z przeproszeniem jejmości... może to, jak się *żyd* powiesi, to wiatru niebędzie?... hej, hej, mój Boże, jejmość to uczona w książkach, to tam wszystko wie...

— A Michał niewrócił jeszcze z poczty?

— Hoho! a co téż to jejmość gada!... a nie widzi to jejmość jaka zadymka straszliwa... swoich nóg nikt nie dojrzy a ktoby drogę znalazł... aj, prawda, prawda że jejmość nie widzi bo ślepa... O rety! nie wróci on dziś, nie wróci... Musiało się gdzie w karczmie śpić chłopisko, ta i leży pod ławą... z przeproszeniem jejmości. Czy ja wiem po co bo to jejmość trzyma tego pijaczynę?... Tylko na rany boskie! niech mu jejmość tego nie powie, co ja jejmości o nim mówię pod świętym sekretem... ho! nie przyjdzie ci on dziś, nie przyjdzie, ja go znam!... aż gdzie jutro koło południa... Niema komu sieczki narzezać... Ale, Jezu kochany, cóż jejmości z tego przyjdzie choćby i przyniósł listy od panicza... Któż je tu jejmości przeczyta? niema nikogo we wsi takiego uczonego. Musi jejmość czekać i tak, aż kiedy przyjedzie która pani z Podsośnia albo z Suchorębu..... albo może doktór..... ej, ej!... a ja z jejmością gadu gadu... a tam mi śmietanka wykipi...

— Idź już Kachno, idź...

— O Jezu! rety! ktoś przyjechał! Wszelki duch święty pana Boga chwali! w taki czas!... Słyszy jejmość dzwonki?.. Aj, aj, okna zamarznięte, nic nie widać... No, no, widać! Jak pana Boga kocham! taż to panienka z Suchorębu!... w niebieskiéj płachcie... i z panią.

Nie, nie z mamunią. Ze sługą. Oj, to ta Jagna Ceglarzówna, co się z nią kowal miał żenić... a jak się wystroiła *galantnie*, w czerwoną chustę... a to dopiéro!... no, no!... Ale pani gada a ja muszę już iść, panience zdjąć futerko... Kawy zrobić?... a owsa koniom dać? będzie jeszcze ze dwa korce w śpichlerzu.. oj, święty rety! zapomniałam! Michał pijaczysko wziął klucz!... Co ja zrobię?... Poszlę Jędrzejową do Mośka... A furmanowi panienki dać jeść? ojej! ojéj!...

I wybiegła za drzwi, zdesperowana nawałem tylu czynności które ją czekały.

V.

W kilka minut późniéj, weszła... nie, wbiegła... nie, wsunęła się? jeszcze gorzéj!... Wleciała zatém? I to źle! Dość, że w kilka minut zjawiła się u podnóżka naszéj staruszki owa *panienka* z Suchorębu, którą przez okno poznała Kachna po „niebieskiéj płachcie“ a którą my z szanownym czytelnikiem spotkaliśmy już wprzódy na Paprockiéj górze jadącą sankami wśród największéj zadymki...

Cudownie lekka, wiotka, smukła, zgrabna, pełna niewymuszonéj w każdym ruchu gracyi i dziwnéj téj swobody, która jest najrzadszym i najbardziéj czarującym ze wszystkich uroków piękności,— w saméj rzeczy, nie *weszła* ona jak salonowa panna, nie *wbiegła* jak dziewczę wiejskie, nie *wsunęła* się jak zakonnica, nie *wleciała* jak trzepoczące skrzydełkami ptaszę... ona się *zjawiła*. Tak jest: *zjawiła się*... tak jak myśl się jawi, jak miłość, jak radość, jak wiosna, jak poezya...

Czy była piękną? Uroczą była:—to może więcéj.

Nie miała rysów klasycznych. Hoża i świeża jak wiosenny ranek; krągła twarzyczka, rumiana od mrozu jak jabłuszko; jasno-siwe poczciwe oczęta wprost ci w oczy patrzące; małe usteczka karminowe pełne uśmiechów, z poza których białe wyglądają ząbki. Czoło wreszcie myślące, zbyt może nieco naprzód podane, a dokoła niego złocisty z warkocza wieniec—oto wszystko. Małe rączki, śliczna talia, którą zda się jedną objąłbyś ręką, przychlebny głosik, pełna niewinnéj kokieteryi modulacya w wymowie: czegóż chcecie więcéj? Nie kreślę wam słynnéj piękności, tylko uroczą dziewoję wiejskiego dworku.

W tym atłasowym szafirowym kubraczku, lamowanym puchem łabędzim, ślicznie jéj było, klęczącéj u nóg staruszki.

Całowała ją w ręce z uczuciem i patrząc na pogodne jéj i szlachetne rysy, przymilała się do niéj, przekrzywiając główkę, jakby, gorąco pragnąc jéj się przypodobać, zapomniała o tém, że staruszka

nie widzi. Pocałowała ją staruszka w czoło, ręce złożyła na warkoczu, który jéj główkę oplatał:

— Wiosna jest przy mnie! Ty musisz tak wyglądać jak wiosna, moja Zosiu! Tak mi jest jakbym wiosnę czuła, kiedyś ty przy mnie... Ale zkądżeś ty się dziś u mnie zjawiła, wiosenko moja?...

— Łaskawa pani, oto tak:..... ach, czy ja wiem sama jak?... Ale jaka ja, jaka ja szczęśliwa, że ja tutaj, przy pani!

I nie przestając klęczeć, zaczęła klaskać w ręce.

— Poczciwa Zosiu!... ty lubisz być u mnie ślepéj?

— Och, czy ja lubię!

I nowe gorące rąk ucałowania. Położyła swą główkę na kolanach staruszki, jakby domagając się pieszczot.

Nie szczędziła ich jéj staruszka.

— Jaką ty masz gładką twarzyczkę Zosiu! a uszko jakie małe... miniaturowe!... Kolczyki masz... jakie te kolczyki?

— To od wujcia, z turkusikiem.

— A włoski takie delikatne... jak jedwabne! Ten cały warkocz, to wszystko twoje własne włosy.

— Moje własne, droga pani!... ach, co to z niemi codzień kłopotu aby je rozczesać! Prawie do kolan mi sięgają.

— Twarzyczkę masz taką gorącą, rozpaloną...

— To z mrozu.

— Czołko gładziutkie... brwi... gęste brwi... A rzęsy?.... oh jakie długie!... Ale może ty się gniewasz, że ja cię tak dotykam po twarzy?

— O nie, nie, nie, najdroższa moja pani! mnie to tak miło!... Jabym tak chciała, żeby mnie pani widziała... a jak pani mnie tak rękoma ogląda, to mnie się zdaje, że mnie pani widzi.

— O ja cię przecież pamiętam dzieckiem... Śliczna byłaś moja Zosiu! ja cię widzę, dobrze cię widzę w pamięci! Byłaś jak pączek róży. Dzisiaj musisz być jak róża rozkwitła... na wpół rozkwitła... Usteczka twe pamiętam ślicznie uśmiechnięte... i oczka takie poczciwe...

I przyciągając jéj twarzyczkę rumianą ku sobie, pocałowała ją w czoło, ręką pogłaskała pod bródką:

— Uparta! uparta bródka!..:—i pogroziła jéj palcem po nosie.

Zaśmiało się dziewczę dźwięcznym jak srebrny dzwonek głosem.

— No, Zosiu, dość tych oględzin! już cię widzę. A teraz siądź tu przy mnie i powiedz: zkąd się tu wzięłaś? i czemu sama?

— Oto tak: mameczka pozwoliła mi jechać do cioci Klimci; miałam wyjechać dziś rano, żeby parę dni zabawić w Smerczyńcach i wrócić na ostatniego Grudnia do domu. Ale jak zaczęły się przygotowania do wyjazdu, to końca nie było: to to niegotowe, to owo. Bielizna dla mnie nie wyprasowana, konie nie kute na ostro, mameczka nie skończyła jeszcze listu do cioci, i tam daléj i tam daléj... Tak się przewlokło blisko do południa. W tém przed gankiem dzyń, dzyń, dzyń! wielki dzwonek u sani, jakiego w całéj okolicy drugiego niema i zajeżdża p. Tadeusz. Mama mówi: „Zosiu, zostań, pojedziesz jutro.“ A ja: „O nie mameczko, nie, nie, nie, nie... pozwoliła mi mamcia dziś pojechać do cioci, to już mamcia pozwolenia cofnąć nie może.“ Na to mama popatrzyła się na mnie *tak*!... wie pani, tak z góry i powiedziała: „Mogę cofnąć i cofam. Zostań! Niegrzecznie by było gdybyś pojechała. Konkurent zajeżdża—a ty czmychasz. Niewidzę powodu aby go odprawiać w sposób tak wyraźny. Prawie go jeszcze nieznasz; jak go poznasz lepiéj, może ci się podoba. To partya nie do odrzucenia“.... „O mamciu, nigdy, nigdy! za nic w świecie go niechcę! choćby miał wszystkie skarby golkondy!“..... bo pani nie wie jaki on nieznośny ze swojemi Shorthornami, Negretami, pudretami!... Ale mamcia powiedziała: „Zostań“ i nie było rady... No, widzi pani, niby nie było—ale się znalazła. Jakem wyszła do pana Tadeusza z czerwonemi oczętami i chusteczką w ręku i z kwaśną minką jakbym się octu napiła—to nawet p. Tadeusz zaraz pomiarkował, że się coś święci, nastroszył wąsy i prosto z mostu po gospodarsku zapytał, pokazując swoim grubym wskazującym palcem na moje oczy: „Panna *Zofia*.. (wyobraź pani sobie! zawsze do mnie mówi: „panna Zo-fi-ja“ z przyciskiem na *fi*. Już za to samo mogłabym go znienawidziéć!)... Otóż powiedział. „Panna *Zofia* płakała!... czemu panna *Zofia* płakała?“ A ja na to: „Przez pana!“ i nic więcéj. A on roztworzył usta tak szeroko jak wrota swojéj obory i rozkrzyżował ręce. Mówię mu tedy, żem miała właśnie wyjechać do cioci Klimci, żem się niezmiernie tym wyjazdem cieszyła—a w tém on przyjechał i muszę w domu zostać—i dla tego płakałam i będę jeszcze płakać, cały dzień będę płakać. „Ależ panno *Zofio*! zawołał składając ręce jak do modlitwy,—ja niechcę być łez pani powodem i przeszkodą w jéj zamiarach... błagam panią, niech pani jedzie!“ „Niemogę. Mama powiada żeby to było niegrzecznie.“ „Ależ panno *Zofio*! co znowu! niegrzecznie? gdzież tam! Przeciwnie, *zostać* niegrzecznie!“—i pobiegł do mamy i tak zaczął prosić i zaklinać, że mi tylko pogroziła paluszkiem i kazała Stefanowi zaprzęgać...

— Dobrze, moja Zosiu,—przerwała szczebiotce staruszka, ale powiedz mi, zkądże się tu wzięłaś w Paprotce jadąc do Smerczyniec?

— Żaraz... zaraz... To się stało tak, droga pani: kiedy wyjeżdżałam z Suchorębu był mróz świetny, ale zadymki niebyło. Ujechaliśmy może z milę, aż tu, jak nie zerwie się wiatr, jak nie zacznie dmuchać, jak nie zacznie kręcić płatami śniegu i bić w oczy... rozpacz!... Ale to nic jeszcze, to jeszcze mała rozpacz. Zaczęła się dopiéro prawdziwa rozpacz jak Stefan spostrzegł żeśmy zbłądzili. Jechaliśmy i jechali bez końca i trzy razy wracaliśmy do jednéj i téj saméj figury, kręcąc się widocznie w kółko. Kilka razy zaryły się sanie w zaspę śniegu, tak, że Jagna trzymała bułanki a Stefan musiał sanie z śniegu wydobywać. Przewróciliśmy się wreszcie wyjeżdżając z jakiegoś parowu... o wielka była bieda! Nakoniec dojechaliśmy do jakiejś na wpół rozwalonéj chaty, wyszedł cygan i powiedział nam że jesteśmy niedaleko Paprotki... Do Smerczyniec niepodobna było dziś już jechać... a więc... a więc pomyślałam, że mnie może łaskawa pani przyjmie na nocleg?...

— A jeśli zadymka nie ustanie, to cię nawet i jutro nie puszczę!

— O droga pani! gdybyż ta zadymka choć ze trzy dni trwała.

I snadź nowych zapragnęła pieszczot pochlebnica, bo uklękła przed staruszką i całując jéj ręce, główkę na kolanach złożyła...

— Dawno pani już niewidziała pana Władysława?—zapytała niby od niechcenia zmieniając nagle przedmiot rozmowy. Dziwnie promieniały jéj oczy przy tém zapytaniu.

— Był tu przed miesiącem. Ty nic pewnie nie wiesz? żeni się.

Trzymając ręce na główce Zosi, czy uczuła staruszka ten dreszcz tajemny, jaki przy tych słowach przebiegł dziewczynę? Drgnęła biedna Zosia, jakby niespodzianie prąd elektryczny niemile przebiegł jéj ciało—i zerwała się nagle z kolan.

— Żeni się?—zapytała, siląc się na obojętny dźwięk głosu. Ale brzmiał on tak, jakby tchu jéj w piersiach zabrakło. Z wyrazem niewysłowionéj boleści przycisnęła ręce do czoła. Oczy były pełne łez.

— Tak, żeni się!—powtórzyła raz jeszcze staruszka. Ale w brzmieniu jéj głosu także nie było radości.

— Winszuję pani!—wyrzekła Zosia przez łzy z nadludzkim prawie wysiłkiem. Osunęła się na fotel, głowę przyciskając do poręczy. Obiema dłońmi cisnęła serce, aby jéj nie pękło z bólu. Strasznie była blada.

— Niewiem czy się mam cieszyć... choć wszyscy winszować mi będą i może zazdrościć—mówiła staruszka. Dziwne to, bardzo dziwne ożenienie!

— Z kim się żeni syn pani?—a łzy jak groch padały na poręcz fotelu.

— Z panną Sarską.

— Z hrabianką?—zapytała drżącym głosem.

— Tak, z córką pani Julii, z Horsztyńca.

— To świetna partya!—rzekła po chwili milczenia Zosia, czując się obowiązaną coś powiedzieć.

— Świat tak powie. Ale ja, niewiem sama czemu, nie cieszę się tak, jakbym może powinna... Ja niewiem czy on będzie szczęśliwym...

— Jeśli ją kocha—zaczęła Zosia połykając łzy.

— Czy on ją kocha?—zamyśliła się staruszka. Ona go kocha szalenie... ale czy *on* ją kocha... Ja niewiem czy ją kocha... niewiem... może to takie dzisiejsze kochanie... Mój Ernest, ale taki Ernest jeden był tylko na świecie!... jaka to różnica, ojciec i syn!... Dziwna to młodzież dzisiejsza! dziwna!... Jacy oni chłodni! jak w nich mało serca, uniesień, zapału!... Władzio jest najpoczciwszym chłopcem, dobrym synem—a jednak... jednak, ja niewiem czy on zdolny ukochać całém sercem. Ja niewiem nawet czy on *mnie* kocha...

— Chryste Jezu! rany boskie! a co też to jejmość wygaduje za *ferezyje*!—zawołała Kachna, przesuwając się ostrożnie przezedrzwi z dwoma szklankami kawy na dużéj tacy, chlebem i masłem. Obraza boska! gdzieżby to panicz jejmości nie kochał!... A kiedy tu był ostatnim razem u jejmości... nie widziała ja?... eh, darmo gadać, kiedy bo jejmość z przeproszeniem ślepa, to i nic nie widzi... A to *rychtyk* jak się pożegnał z jejmością i jejmość myślała że on już poszedł... oto tak... ej, kiedy muszę tacę wprzódy postawić... Stoliczek przed jejmością za mały, taca się nie zmieści. Postawię na komodzie tymczasem... Oto tak było: niby to panicz wyszedł, a stał tu, tu koło drzwi—a z oczu mu woda ciekła, o tak: kap, kap! a ręką *ino* ocierał i patrzał na jejmość... ot tak!... eh, kiedy bo jejmość nie widzi jak ja pokazuję... no, ale panienka widzi... to jejmości powie po *chrajcuzku*, bo to się po polsku nieda powiedzieć, *ino* pokazać jak to było... Niechże panienka uważa, to ja pokażę. Ot tak, tu przystanął i potém dwa palce położył sobie *na gębie* i pocałował i potém tak ręką ruszył jakby trzymał wróbla albo sikorkę w tych palcach i prosto chciał na jejmość puścić... o tak: cmok! frrrrr!... eh, nie tak jeszcze... bo ja prosta dziewucha, to ja niepotrafię... To bardzo ładnie panicz zrobił, jak się patrzy! aż się coś człowiekowi dziwnego robiło... Zaraz ja to lepiéj pokażę, *ino* kawy jejmości podam i panience... No, bierzże jejmość do ręki szklaneczkę... Co? może nie przysłodzona? Cukier jest, trzy kawałki, tak jak jejmość lubi. A tu chléb z masłem.

No, a panienka niech bierze... Matko najświętsza! a panienka czego płacze? co się to panieneczce stało?...

— Ale zdaje ci się tylko, poczciwa Kasiu: ja nie płaczę.

— *Ola* Boga! jużci widzę! przecieżem nie ślepa jak jejmość... z przeproszeniem.

— Mróz mnie w oczy wyszczypał, dla tego mnie teraz bolą..,

— Ohoho! mróz!... mróz! Nie taka ja głupia, nie mróz to panienkę wyszczypał, ale coś *wedle* serca ją szczypnęło... Po co to udawać! lepsza najgorsza prawda jak najlepsze kłamstwo... no, niech mi panienka znaków nie daje i na jejmość nie pokazuje... bo ja się z panienką nie będę zmawiać, ażeby jejmość oszukać... z przeproszeniem... Jeżeli jejmość panience jakie przykre słowo powiedziała ..

— Ale Kasiu, śmieszna jesteś!—przerwała jéj Zosia.

— Śmieszna, ja śmieszna... ale panience nie do śmiechu dzisiaj, *ino* do płaczu... Czegoś panience serduszko się kraje, że ledwo w głos się nie rozbeczy... czegoś jéj tak żal, tak żal! okrutnie jéj żal czegoś, aż litość człowieka bierze...

Zosia próbowała się roześmiać. Po udanym jéj śmiechu mogła już i ślepa odgadnąć, że łzy cisną się jéj do oczu.

Kachna wzruszyła ramionami.

— Ej, po co to udawać! po co to udawać komedye panienko!

— Idźże już Kachno,—przerwała jéj staruszka, tak mi Zosię prześladujesz, że gotowa tu już drugi raz nie przyjechać. Pamiętaj lepiéj o kolacyi.

— No idę, idę już!... ale co prawda to nie grzech.

VI.

— Czyś ty naprawdę płakala, Zosiu?—zapytała staruszka po odejściu służącéj.

— Nie, pani; czemużbym miała płakać?

Zamyśliła się staruszka. Pokręciła siwą głową niedowierzająco. Smutny jakiś uśmieszek przemknął jéj po twarzy.

Milcząc piły kawę. Po chwili odezwała się Zosia:

— Zabawna dziewczyna! jak ona komicznie odegrać chciała rolę pana Władysława! jak ona się oburzyła na niedowiarstwo pani w jego przywiązanie!

— Poczciwa Kachna!... ale ty niewiesz, jaki on ma szczególny dar ujęcia sobie wszystkich. Jego *wszyscy* kochają: koledzy jego szkolni skoczyliby w ogień za niego, słudzy przepadają za

nim... Ja się nie dziwię że jego narzeczona taka w nim szalenie rozkochana...

— A jednak, pani niewierzy aby on ją równie kochał?

— Niewierzę... nie. On sam zresztą nie mówi tego aby był w niéj zakochany... Ona szaleje za nim, a on? wiesz, jak się wyraża o swéj narzeczonéj? „mam wiele dla niéj przyjaźni, przywiązałem się do niéj, bardzo ją lubię a *nawet* kocham prawdziwie“... Dziwnie to chłodne, to „nawet“!...

— Czemużby się z nią żenił, gdyby jéj nie kochał? Zanadto go cenię, abym mogła przypuścić, że dla jéj tytułu albo majątku!...

— Zapewne. . zapewne... I ja daleką jestem od tego, aby go o tak niegodne posądzać pobudki. Mój syn nie sprzedałby się za wszystkie korony świata. A jednak—ja ci powiem, że mimo całéj niezawisłości jego charakteru i jego postępowych przekonań, ten jéj tytuł i milionowy majątek—nie był bez wpływu na jego postanowienie. To jéj miłości nadaje w jego oczach większą wartość, urok jakiś, któregoby nie miała miłość ubogiéj dziewczyny... Czy ty to pojmujesz?... Otóż to właśnie niepokoi mnie najbardziéj i każe mi powątpiewać o jego szczęściu. Co to za szczęście bez prawdziwéj miłości... Kiedy był u mnie, spytałam go wprost: Mój Władziu, powiedz mi, gdybyś był dawał lekcye historyi nie pannie Hieronimie, ale jakiéj ubogiéj dziewczynie, a ona zakochała się w tobie do szaleństwa i sama ci się oświadczyła...

— To ona sama mu się oświadczyła?

— Sama.

— A pan Władysław?

— Władzio jéj odpowiedział, że nie są dla siebie stworzeni, że dzieli ich nieprzebyta przepaść majątkowego położenia i uprzedzeń społecznych i przestał bywać w ich domu.

— Jakże się więc stało...

— Panna, która od dzieciństwa była zawsze słabowitą i ma zdrowie bardzo wątłe, wpadła w nieukojony smutek i rozchorowała się śmiertelnie. Wtedy, widząc rozpacz matki, która ją namiętnie kocha, na jéj prośby i zaklęcia wyznała jéj wszystko. Hrabina bez namysłu napisała bilet do Władzia, prosząc, aby przyszedł. Wymówił się. Pisała drugi raz, zaklinając go, aby przyszedł dla porozumienia się w sprawie „równie dla niego ważnéj, jak dla niéj.“ To były słowa jéj listu. Wiedząc o chorobie panny i domyślając się o co idzie—nieposzedł. Ale w kilka dni późniéj, otrzymał trzeci list, z wiadomością, że panna, będąc śmiertelnie chorą, dysponowała się na śmierć i pragnie się z nim pożegnać...

— Wtedy poszedł oczywiście...

— Poszedł—i wrócił do domu jako jéj narzeczony... a we dwa tygodnie panna Hieronima wyzdrowiała.

— Ah!—westchnęła ciężko panna Zofia, to więc ofiara była z jego strony! to go zupełnie tłómaczy... Ale ona, ona? jak mogła przyjąć taką ofiarę?... A jeźli ją przyjęła, sądząc że jest umierającą, to czemuż mu teraz słowa nie zwróci, wiedząc że on jéj nie kocha?...

— Ona tego nie wie. On jéj tego nie powiedział, kiedy mu się sama pierwsza oświadczyła. Tłómaczy się, że toby było zbyt niegrzecznie, prawie impertynencyą, na gorące oświadczenie miłośne: „kocham cię“, odpowiedziéć pannie: „a ja ciebie nie.“ Sądził, że ta gwałtowna miłość jest zwykłym przemijającym kaprysem romansowéj panny i że jéj wkrótce z głowy uleci. Powiedział jéj więc wtedy na pociechę, że ją także kocha od dawna, ale że należy ugiąć się w obec dzielących ich przesądów, wyperswadować sobie i rozejść się na zawsze.

— To źle!... Ale czemuż dzisiaj nie powie jéj prawdy? Czyż i dla niéj nie lepiéj, aby się teraz dowiedziała, że jéj nigdy nie kochał, niż kiedyś dopiéro, gdy już będzie za późno...

— On się czuje związany daném słowem... Pochlebia mu to zresztą, że się stał przedmiotem, już nie miłości, ale jakiegoś bałwochwalczego ubóstwienia, że za nim szaleje rozmarzona dziewczyna, córka jednéj z najznakomitszych rodzin w kraju, milionerka, o któréj względy dobijali się synowie najarystokratyczniejszych domów... „Gdybym zerwał—powiada mi—onaby umarła. Umarłaby z pewnością! Taka wątła, chorowita, drażliwa, nerwowa! Chłodniejszy wyraz twarzy, słówko obojętne z méj strony, przyprawia ją o płacz, o spazmy, o rzeczywistą—a nie udaną chorobę. Zerwać? nigdy! czyż nie byłoby to nikczemnym egoizmem, okrucieństwem nawet? Czyż mogę zerwać, choćbym jéj nawet, jak mama twierdzi, w saméj rzeczy nie kochał?... Ale nie, ja mamie zaręczam, że ja ją *bardzo lubię* i *prawdziwie nawet kocham*... Czyż to nie dosyć? Jak jéj nie kochać, kiedy ona mnie tak kocha?“...

— On ma słuszność, droga pani, on ma słuszność!—odezwała się Zosia i ukryła twarz w obie dłonie.

— Tak... tak!—powtórzyła zwolna staruszka:—on ma słuszność!... ale powiedz mi Zosiu, powiedz sama: czy on może być z nią szczęśliwy?...

Milczeniem odpowiadała Zosia tłumiąc w sobie płacz. A w ociemniałych oczach staruszki błysnęły dwa światełka, dwie duże łzy.

Poczciwa dziewczyna chciała pocieszyć strapioną matkę i na ustach miała już banalny zwykły frazes o szczęściu jakie daje poświęcenie... Ale zamilkła.

We drzwiach pokoju stanęła Kachna.

VII.

W progu już zaczęła wrzeszczéć lamentującym głosem: Jejmość! jejmość!—i z lamentem tym wpadła spłakana, zadyszana, na środek izby.

— Co się stało?—zapytała staruszka i Zosia równocześnie, Zosia z wyrazem przerażenia, staruszka dość spokojnie. Snadź przywykła była do nieuzasadnionych alarmów swéj służącéj.

— Ach, jejmość! nieszczęście!... Józek... ten z pod młyna... pojechał z Wojciechową dzisiaj rano do kościoła... z maleństwem, co mu się wczoraj urodziło... ażeby proboszcz... jak się przynależy ludzkiemu dziecku... ochrzcił, bo Wojciechowa ma dużego już chłopca, co się i sam odkarmia mlekiem i kaszą... A taki się mróz wszczął i zadymka... a Maryna to taka była chora jak Józek jéj dziecko brał to i rzekła: ja się was niedoczekam!... A i zgadła... ba, nieprawda, niezgadła, bo jużci się doczekała jak wrócili... wrócili proszę jejmości i tego pijanicę zabrali na drodze boby był zmarzł na wieki Amen... a dziecko zamarzło i umarło jak wracali z kościoła... nieboractwo prosto do nieba pójdzie... *ino* go się doczekała i powiada: Józek! jesteś? ja umieram! a ochrzczone? Ochrzczone! powiedział. A *Maryna* jéj? *Maryna*, odpowiedział... a nieprawda, bo jéj dał ksiądz *Hanka*, ale że ona chciała, żeby jéj było Maryna, to powiedział *Maryna* aby jéj markotno nie było... bo widział że już, już *ino* trochę a skończy... a Bartoszowa nad nią z gromnicą stoi... to jéj powiedział że Maryna... A jakże ona teraz będzie dziecko wołać na tamtym świecie?—to ona go nieznajdzie!... Ale tak jéj powiedział. A na to woła: daj mi ją, daj, niech ją *ino* jeszcze obaczę i pocałuję!... A Wojciechowa na to: Po co byście dziecko całowali kiedy macie umierać! Ach, niechże pocałuję! Dalibyście pokój! i niechciała jéj dać. Aniołowie święci będą myśléć że je chcecie zabrać ze sobą. Ale Maryna koniecznie: Dajcie i dajcie, niech się ino popatrzę. Dajcie prędko bo już umieram. A jak się *ino* popatrzyła i obaczyła że już umarło, jak nie wrzaśnie... słyszy jejmość? to wrzasła jak nieboskie stworzenie... ale tak wrzasła, że aż ludziom mróz po kościach poszedł... i wrzasła i ręce przed siebie wyciągnęła, gromnicę Bartoszowéj z ręki wytrąciła, i już nic... ani tchu... Jezu, Jezu! straszne takie konanie, Matko Najświętsza ratuj!... Jezu! Jezu! takem się spłakała!... Tak to dziewce

za mąż iść... a każda by chciała... Oj, co prawda to prawda! straszne sądy boskie!... *Rychtyk!* byłabym na śmierć zapomniała: słyszy Jejmość? ten pijanica to przez cały ten czas leżał na sankach przed chałupą, bo ludzie o nim zapomnieli... dopiéro się teraz Wawrzek nad nim zmiłował i przywiózł go tu, tośmy go do stajni zanieśli a nie rusza się *ino* czasem mruczy jak niedźwiedź, a pijany, jak *sztok*... a dobrze że torby nie zgubił i listy są... zaraz jejmości przyniosę, *mom* zapomniała z wielkiego płaczu w kuchni...

I wyszła.

Nie wiedziała snadź dobrze, gdzie się jéj listy zapodziały, bo sporą chwilę dała czekać na siebie. Ochłonęły tymczasem obie panie z doznanych wrażeń jéj opowieści.

— Jakież to okropne zdarzenie! — zawołała Zosia. — Jakież to straszne tragedye dzieją się w tych chatach!

— Wszędzie się dzieją tragedye, moje dziecko: ta tylko różnica, że my w nieszczęściu mamy pociechy im niedostępne.

— Tak pani, ale nas za to tyle rzeczy boleśnie dotyka, których oni czuć nie są zdolni.

— Zapewne. Ale ileż natomiast drobnych przykrości znosimy ze śmiechem, które dla nich, jak dla dzieci, prawdziwém są nieszczęściem.

— Dziwna to rzecz przecie, kochana pani, że nic tak nie koi własnych naszych smutków jak odczuwanie cudzego nieszczęścia.

— Zosiu droga! to tylko ci, co kochać umieją, doznają téj pociechy w smutku, że cudza boleść łagodzi ich własną, a cudze szczęście ich uszczęśliwia... Ach, ta Kachna, ta Kachna! ona gotowa jeszcze zgubić list mego syna!

— Pani się spodziewa listu od pana Władysława?

— Niemiałam go od jego wyjazdu. Pisuje do mnie tak rzadko! Ale on wie, że niemogę często posyłać na pocztę—a choć mi list przyniosą, to czasem i przez dwa tygodnie niemam tu nikogo aby mi odczytał. Będziesz dziś moją lektorką Zosiu?

— O z największą ochotą!...

Przyniosła Kachna dwa listy, podała je do rąk swéj pani.

Pochwyciła je staruszka skwapliwie, macierzyńską radością przyoblokły się szlachetne jéj rysy. Zważyła je oba staruszka na dłoni, każdy z osobna, drżącemi rękoma obracała je w koło: mierzyć się zdawała ich kształt i wielkość. Przesuwała palcami po adresie, jakby czując chropowatość rozpoznawała litery i charakter pisma.

— Ten gruby—rzekła, jakby sama do siebie—to nie od niego! On tak krótko pisuje... Czworograniasta koperta—nie, to nie od Władzia... *Ten* od niego, ten podłużny!... Ale czemu lakiem zapie-

czętowany? On zawsze listy zakleja... Pismo na adresie jakby piaskiem było posypane, chropowate... Czy to piasek się przesypuje?... Tak, to piasek!... on nieużywa piasku... Co to jest?... To może nie od niego?... Ale nie, to przecież od niego! od niego!... Ta sama wielkość—a marka pocztowa przylepiona po lewéj stronie... to on! z pewnością on!

I bawiła się listem, jak dziecko trzymające w ręku kasową asygnatę, któréj niezna jeszcze wartości. Nie puszczała go z rąk, nie oddawała Zosi do czytania, jakby nie chciała rozłączyć się z tym skarbem dla niéj tylko przeznaczonym, jakby dotykanie się go nierównie milszém jéj było od dowiedzenia się jego treści.

— No, czytaj teraz Zosiu!—i podała list wspaniałomyślnie z takim wyrazem twarzy, z jakim bogacz zaprasza biednych ludzi, aby zasiedli do jego sutéj biesiady.

— Pani—rzekła Zosia—świecy nie ma. Już ciemno.

— Ciemno?—zapytała ze zdziwieniem ślepa.—Mnie się zdawało, że słońce świeci... Powiedz-że Kachnie, aby ci dała świecy... Ach, czy się tylko znajdzie świeca u mnie... bo widzisz moja droga, ja—niepotrzebuję.

Na szczęście znalazła się świeca u Kachny.

Zosia postawiła ją na stoliku i z pośpiechem rozłamała pieczątkę listu.

— „Kochana Siostro...“ to nie od pana Władysława!... Może ten drugi?...

Staruszka rozczarowana, podała jéj drugi list.

— O, *ten* od pana Władysława!—zawołało poczciwe dziewczę wesoło, rozerwawszy kopertę.—Cztery całe ćwiartki!...

— Cztery całe ćwiartki—powtórzyła matka z radością.

— Drobno zapisane! — dodała Zosia uszczęśliwiona szczęściem staruszki.

— Nigdy mi jeszcze tak długiego listu nie napisał!

— „Najukochańsza, najdroższa Mamo!...“

— Nie... nie! czytaj pierwéj list od mojéj siostry... list od syna na końcu; już po nim nie chcę nic słyszéć. Ten-by mi potém zepsuł wrażenie Władziowego listu, zatrułby mi radość. Skoro wiem, że Władzio pisze, tom już spokojna o niego. Czytaj list mojéj siostry Zosiu.

VIII.

Zosia czytała:

— „Kochana Siostro! Piszę do Ciebie, aby Ci...“ ach, jakież nieczytelne pismo!—„aby Ci powinszować, że Twój syn taki świetny

los robi żeniąc się z hrabianką, która ma taki milionowy majątek. Ludzie o tém dawno gadali, ale ja temu wierzyć nie chciałam, żeby on miał taki praktyczny rozum i potrafił hrabiance głowę zawrócić swoją osobą. Nie gniewaj się, ale ja zawsze myślałam, że on taki sam będzie jak jego ojciec i jeszcze i tę paprotkę straci, co ojciec jego nie stracił, bo go zabili w pojedynku...“

— Proszę pani, może nie czytać daléj tego listu?

— Czytaj Zosiu, czytaj do końca. To rzecz zwykła.

— „Ale przypomniał sobie przecie, że ma ciotkę i choć pół roku u nas nie był, choć na téj saméj ulicy mieszka, to teraz był i powiedział, że to wszystko prawda i że ślub będzie w styczniu przyszłego roku jak pan Bóg da doczekać. Winszuję Ci moja kochana Siostro. Ja się nie dziwię, że on u nas nie bywał, bo co jemu ze mnie, kiedy takie wielkie miał projekta. To i jednemu na tysiące się nie uda, chociaż dziś hrabianki dużo łatwiejsze jak wprzódy. Moi synowie takiego szczęścia nie zrobią, choć mąż mój przy magistracie i ma swoje wpływy. Nie chcieli się uczyć, to i cóż robić? nie mogą zrobić karyery. Władzio w Ciebie się wdał a oni we mnie—to i Ty poszłaś za obywatela a ja za urzędnika, to i z nimi tak samo. Władzio z hrabianką się żeni, a mój... mój...“—nie mogę przeczytać...

— Felunio zapewne?

— Nie...

— Tybuś?

— A tak, Tybuś!... „a mój Tybuś zakochał się w ekonomównie i awantury wyrabia. Kamilcię wydaliśmy za poczmajstra, to przynajmniéj tyle nam się poszczęściło, ale co do Stefci i Berci to ich nikt niechce, choć niemało-śmy już na traktamenta wydali i dużo nas to kosztowało. Felunio ustatkował się i może świetny los jeszcze zrobić, bo bardzo ładny chłopiec, ale do hrabskich domów nie będzie się wciskał, gdzie go nie proszą. Gdyby Władzio miał dobre serce i chciał dla nich być bratem, jak powinien, toby i moi synowie los zrobili, ale jemu to nie w głowie, on tylko o sobie myśli. Może to i dobrze tak, takie czasy postępowe i ja się jemu nie dziwię. Jakie odebrał wychowanie to taki jest...“

— Ah, to niegodziwe!—zawołała Zosia, przerywając czytanie listu. Po chwili czytała daléj:

...„ale jaki tego będzie koniec, tego człowiek nie zgadnie. Nie jednemu się wiodło, wiodło, a potém się urwało. Dlatego nie trzeba nigdy ubogiemi krewnemi pogardzać. Prawda, kochana Siostro? Mogłabyś też to jako matka Władziowi Twemu powiedzieć. Choć się z hrabianką ożeni, to przecież sam jeszcze przez to hrabią nie zostanie. Powinien o tém pamiętać. Ale ja się na niego nie żalę.

Bardzo grzeczny, kiedy przecież choć raz na pół roku do nas przyszedł, aby nam powiedziéć że się żeni, a potém i drugi raz jeszcze był dowiedziéć się, jak się mam, kiedy mu Felunio powiedział po jego powrocie z Paprotki, że było u mnie konsylium, bo już miałam umierać. To już drugie w tym roku konsylium dla mnie, a to ogromnie kosztuje, a ta kuracya to tyle pieniędzy zabiera, że niewiedziéć zkąd wziąć, choć poczciwy Bonuś robi co może. A wszystko o te nogi i nic nie pomaga a puchlina coraz więcéj idzie w górę. Ale żeby tylko wiosny dał p. Bóg doczekać—tobym pojechała do kąpiel to wszystko będzie dobrze a może i dla Stefci znalazłby się tam konkurent, bo tutaj go nie ma. Tylko, że na to wszystko pieniędzy potrzeba a poczciwych ludzi, choćby między najbliższymi nawet krewnymi, to mało na świecie. Felunio także potrzebuje, żeby się pokazać w świecie, bo inaczéj losu nie zrobi, a skąd wziąć? Prosiłam, prawdziwie z upokorzeniem własném, Twego Władzia o 200 guldenów, ale on mi odmówił i powiedział że nie ma. I Felunio poczciwy go także prosił i także mu nie dał i powiedział że niema. A przecież to nie może być, bo to przecież jasne jak na dłoni, że to nie bez tego, aby jemu już i teraz co niedawali, bo by się przecie stara hrabina wstydziła za przyszłego zięcia, gdyby nie występował w świecie jak na hrabskiego zięcia przystoi. Niechciał i koniec. Proszę Cię zatém kochana Siostro, kiedy Ci los tak poszczęścił, to nie obrażaj pana Boga, bo szczęście się może odwrócić, i pomóż mi przecie, bo wiem że i o parę tysięcy nie byłoby wam teraz trudno. Ja wiem, że Ty dobra siostra a jak się Felunio ożeni, to *jak dzieci moje kocham*" (podkreślone) „zaraz Ci oddam z posagu jego żony, nawet z procentem jaki będziesz chciała. A jakby się nie ożenił, to przecież stać nas jeszcze z czego oddać, a mąż mój ma oprócz swojéj pensyi różne dochody. Tylko powiedz kochanemu Władziowi, którego jak ciotka prawdziwie kocham, żeby starszych słuchał i tak się nie puszył i swoją dumą ludzi nie obrażał po mieście, bo Felunio powiada, że straszne rzeczy o nim opowiadają, a kiedy komu na myśl przyjdzie, to *gotowi jeszcze jaką anonimę na niego napisać do hrabiny i będzie po wszystkiemu...*" (te słowa podkreślone!) „Proszę Cię raz jeszcze kochana Siostro, o te nędzne 200 guldenów, które mi Twój syn odmówił, choć widział jakie mam nogi opuchłe i że potrzebuję na kuracyą. Ściskam Cię i całuję moja najukochańsza Siostro z całego serca mojego. Bądź zdrowa i odpowiedz mi prędko o co Cię proszę. Każ komu napisać, abym wiedziała czego się mam trzymać. Niech Cię Bóg ma w swojéj świętéj opiece. Twoja kochająca Cię Siostra *Malwina...*' ach daruj droga pani, ale gdybym listu tego z rąk pani nie otrzy-

mała, to nigdybym nie uwierzyła, że to siostra pani tak pisze, tak myśli, tak czuje!...

— Rodzice nas odumarli za młodu—odparła staruszka—każda z nas wychowywała się gdzieindziéj, cóż dziwnego żeśmy niepodobne do siebie... Ale niemówmy o tém raczej!... Co pisze mój syn? Czytaj Zosiu, czytaj!

IX.

— „Najukochańsza, najdroższa Mamo! Poprawię się droga Mateczko i będę odtąd pisywać częściéj i dłużéj!... Temi słowy Cię pożegnałem moja najdroższa, a data niniejszego listu mego niech Ci świadczy o szczeréj chęci poprawy..."

— Jaka data listu?

— Ach, prawda! nieprzeczytałam daty u góry: 26-go listopada... „Przedwczoraj rano Cię pożegnałem, dziś po południu znużony nieprzespaną w szybkowozie nocą, stanąłem dopiéro na miejscu i już piszę. Nie dziw się droga mateczko, że pisując do Ciebie tak rzadko, tak krótkie pisywałem listy, tak *oschłe* jak się wyraziłaś. Trudno to, pisując raz na miesiąc, w jednym liście streścić to wszystko co się w ciągu kilku tygodni robiło, myślało, czuło. A choćby się nawet udało zapamiętać i streścić, to każde streszczenie z natury rzeczy musi być oschłém—jak spis rozdziałów jakiéj, choćby krwią serdeczną pisanéj, książki.—Powiedziałaś mi, że list syna do matki powinien być zwierciadłem jego duszy. Cóż, kiedy dusza ludzka to nie posąg z marmuru ani idea wieczyście z sobą identyczna! Dusza—to rzecz żywa, a życia istotą ruch ciągły i ciągła zmiana. Niech fotograf zdejmie wizerunek téj saméj okolicy w różnych porach dnia i roku, to i poznać będzie trudno, że to jeden i ten sam krajobraz. Niech się list stanie zwierciadłem na ową godzinę pisania, to nie poda wizerunku piszącego, ale tylko jednéj życia jego godziny.—Wiem ja o tém z doświadczenia i dla tego mi to tak trudno, pisując rzadko do Ciebie Mateczko, wynurzyć się z mojemi myślami, uczuciami, wywnętrzyć się przed Tobą z wszelkich tajników duszy, rozserdecznić się i rozpisać. Postanowiłem tedy pisać do Ciebie codzień kilka wierszy a gdy się zbierze listu takiego parę ćwiartek—odesłać. List taki, w którym z całém synowskiem wylaniem chcę Ci się wiernie codzień ze wszystkiego wyspowiadać, powie Ci więcéj o mnie, niżbym ja sam ustnie powiedziéć Ci zdołał. Wiele rzeczy łatwiéj napisać niż powiedziéć."

„Wierz mi Mateczko: powiedziałaś mi, że o Tobie zapominam, a ja teraz stokroć częściéj i stokroć goręcéj czuję potrzebę wyspowia-

dania się przed Tobą ze wszystkich myśli moich, zwierzenia się Tobie ze wszystkich mych smutków i żalów i pociech... Czemu tak? spytasz. Oto dlatego, że tak dziwna padła mi dola, iż prócz Ciebie, czuję to, nie będę miał się już w życiu przed nikim spowiadać, ani ulgi szukać w niczyjem sercu nie będzie mi już wolno."

„Powiedziałaś mi Matko, żem ja od lat dziecięcych zawsze przed Tobą nieszczery, że staram się zawsze zataić wszystko to, coby Cię mogło udręczyć. Powiedziałaś mi, że więcéj Cię to dręczy domyślać się,przeczuwać—niż wiedziéć, choćby rzecz najsmutniejszą Prawda, żem niegdyś tail niejedno przed Tobą, aby Cię nie zmartwić, ale wierz mi żem nigdy nie dopuścił się kłamstwa. A dziś, dziś ja umiem Cię pojąć już całą—dziś objąć już zdołam całą wielkość Twéj duszy: Tyś jedyna na świecie może kobiéta, przed którą synowi wszystko wyznać się godzi, ja nietylko kocham Cię szalenie, ale ja Cię ubóstwiam. Będę zupełnie szczery przed Tobą."

„Jeden mógłbym mieć tylko powód wstrzymujący mnie od szczerości w mych listach—a tym jest wątpliwość, kto Ci listy moje czytać będzie. Gdybym był pewny, że będzie to zwykła Twoja lektorka, szanowna pani Seweryna, to możebym je tak pisał prawie, jakbyś Ty je sama jedna tylko czytać miała, ale wiem, że pani Seweryna bardzo rzadko Cię teraz odwiedza, objąwszy Suchoręb we własną administracyą. Pani Seweryna umiałaby dochować tajemnicy, gdyby się kiedy jaka w moim liście znalazła—a nielękałbym się odsłonić przed nią moich słabych stron, bo wszak mnie ona zna od dziecka. Nierądbym jednak, aby moje listy czytały panie z Podsośnia, a tém mniéj p. Marceli. Panu Adamowi także ich nie dawaj Mateczko, ani panu Marjanowi, ani nikomu z całego tego gniazda."

— Proszę pani—przerwała Zosia czytanie listu—może mi daléj czytać nie wolno? O mnie nie ma wzmianki.

— Moja Zosiu—rzekła staruszka po krótkim namyśle—Władzio pozwala aby je czytała Twoja Matka. A ty taka sama jak ona. Ja tobie równie ufam. Czytaj dziecko drogie! On o tobie dlatego tylko nie wspomniał, że ty zawsze z matką przyjeżdżasz i nigdyś dotąd moją lektorką nie była. Wszak ty nikomu nie powiesz co z tobą mówiłam o zamierzoném ożenieniu mego syna, ani tego, coby on sam pisał?

— O zaręczam ci pani, nikomu!... zawołało wzruszone dziewczę.

I czytała:

„Co do niniejszéj mojéj posyłki, jestem o jéj los zupełnie spokojny. Wstąpiłem do poczciwego naszego doktora i uprosiłem go, aby Cię odwiedził około 12-go grudnia i jadąc do Paprotki zabrał

mój list. Obiecał mi to święcie a co on przyrzeknie, to pewniejsze od pitagorasowéj tabliczki. Jako czytelnikowi niniejszego mojego listu składam mu tu raz jeszcze serdeczne podziękowanie za tę przysługę oddaną mnie i Tobie, jedną z tysiąca jakie w ciągu swego życia nam oddał, a których mu nigdy niczem wywdzięczyć nie zdołamy. Przed nim, jak mój ojciec tak i ja żadnych nie mam tajemnic."

„Rozpisałem się szeroko, a nic Ci nie doniosłem. Północ już dochodzi, oczy mi się kleją. Powiem Ci więc dziś krótko, to co chciałem szczegółowo opowiedzieć. Przyjechałem tu o czwartéj. Przebrawszy się—pierwszą osobą, którą spotkałem na ulicy, był Felunio, nieznośny Felunio. Obcałował mnie i obślinił i jak zwykle miał do mnie *wielką prośbę*. Mateczka wie, co u niego znaczy *wielka prośba*. Oczywiście nie dałem nic. Mam i tak u niego do 40 guldenów, ciężką pracą zarobionych. Próżniaczysko! stara się teraz o bogatą kotlarzównę, ale ona go niechce. Usłyszawszy odemnie *verba veritatis* powiedział mi, przypomniawszy sobie przy pożegnaniu, najprzód, że panna Idalia zaangażowana do Warszawy, a potém jeszcze sobie przypomniał, że jego matka była przed dwoma dniami umierającą i zwołano do niéj konsylium. Po dokonanéj operacyi ma się ciotka znacznie lepiéj. Poszedłem natychmiast do niéj, bo nie chcę na nową burę od mateczki zasłużyć. Siedziała w fotelu i robiła pończochę jak zwykle, a usta jéj się nie zamykały. Skargi i narzekania na wszystkich żywych i umarłych sypały się jak z rogu obfitości a mnie się dostało docinków najcięższego wagomiaru ze dwadzieścia. Nikogo nie oszczędzała, dostało się nawet mężowi, czyli jak go nazywa, Bonusiowi. Felunio wyszedł jeszcze najlepiéj z tego gradobicia. Nie uwierzyłaby Mama, jaka ciotka teraz zła: kto jéj nie widział od czasu jéj choroby, wyobrazić sobie tego nie potrafi. Dawniéj przecież taką nie była. Doktorowie powiadają, że to zły bardzo symptom choroby i zły wróżą koniec. W téj chwili niebezpieczeństwo zdaje się być uchylonéni, ale za parę tygodni może znowu powrócić, a wtedy prawdopodobnie nie byłoby już ratunku. — Zabawiłem u ciotki dłużéj nad zamiar: kuzynka Bercia popisywała się z arją *Pięknéj Heleny; W lasku Ida trzy boginie*, Stefcia zaś wymagała odemnie z trudną do opisania natarczywością, abym jéj opowiadał wszystkie szczegóły mojego, jak się wyraziła, *romansu*. Obie coraz brzydsze, ale Stefcia ma nieco naturalnéj gracyi, a kiedy chce o czemś powiedzieć, że to niedorzeczność, czyni to za pomocą pewnego charakterystycznego gestu, który mi przypomina śliczną naszą sąsiadkę, pannę Zofią."

Zapłoniła się Zosia, zaskoczona tak niespodzianą o niéj wzmianką. Mimowolny przestanek w jéj płynném czytaniu zabawił staruszkę.

— Widzisz Zosiu — i o tobie mowa!

Ale jéj ścisnęło się serce żalem. Czytała daléj:

„Wuja Bonusia z początku nie było w domu w czasie moich odwiedzin. Przyszedł dopiero późniéj. Przyszedł z jakiéjś piwiarni, co czuć było aż nadto po rozlegającéj się piwiarnianéj woni, a po kilku słowach przywitania wziął się do obcinania paznokci. Używał do téj operacyi jakichś szczypczyków, zamykających się z szczególniejszym zgrzytem, a po każdem zgrzytnięciu takiém odskakiwał w górę okrawek pazura i uderzał, to w lampę, to w twarze przytomnych osób. Zaledwie skończył tę robotę, zabrał się do drugiéj, do dłubania piórkiem w zębach. Skrobał po nich tak głośno, że aż mrowie mnie przechodziło, choć nie należę do nerwowych ludzi. Muszę Mamie przypomnieć dla uzupełnienia obrazu, że zęby ma prawdziwie przedpotopowéj wielkości i posiada jakiś muszkuł, którego zapewne braknie innym ludziom, a za pomocą którego, potrafi tak ściągnąć górną wargę w górę, że jéj prawie nie widać... Pamięta Mama tę oryginalną jego postać?... Do rozmowy się nie mięszał, czasem tylko przerywał swoje zajęcie jakim wykrzyknikiem nie artykułowanym, albo wtrąceniem niedorzecznêm swego przysłowia: *kulą w płot!* Ach, co to za nieznośny człowiek!"

„Wyrwawszy się nareszcie ztamtąd, spieszyłem do mojéj narzeczonéj, choć przyznam się Mateczce szczerze, strasznie mi się już niechciało. Czułem, że wypada pójść w dzień mego powrotu ze wsi—i zrezygnowany byłem pójść. Na moje szczęście czy nieszczęście—spotykam .. nie zgadłaby Mama kogo... oto, mego najlepszego i najserdeczniejszego przyjaciela: Jasia! Po pięciu latach niebytności wyrwał się od swych zajęć w Warszawie i przyjechał do nas na dni kilka. Pojmuje Mama, żem już do Sarskich nie poszedł i cały wieczór spędziłem z Jasiem. Przecież przyjazd tak dawno niewidzianego przyjaciela, którego jak brata kocham, może mnie rozgrzeszyć. Z nim tak rzadko widywać się mogę, a z nią będę całe życie razem, zawsze razem aż do znudzenia. Rozpytywał mnie z serdecznêm zajęciem o Mamę, o nasz dom, o wszystko. Gdym mu powiedział że się żenię, rzucił mi się z radością na szyję i zawołał: A, to się cieszę! Spodziewałem się tego! — Spodziewałeś się? zapytałem zdziwiony. — Blondyneczka jak łania, o jasno-niebieskich oczach, nieprawdaż?— Nie, rzekłem: smagła bruneta... i opowiedziałem mu dzieje moich zaręczyn. Nie bardzo mu się to wszystko podobało i rzekł w końcu: Jabym był wolał... i urwał. Cobyś był wolał?—Nie chciał mi powiedzieć. Może i jabym był wolał?... ale nie ma o têm co mówić. Już po północy. Dobranoc."

„*27-go listopada.* Ach Mateczko! Jakaż ta gawiedź miejska obrzydliwie mi wstrętna, ten tak zwany *świat!* Ileż tu fałszu i obłudy. Nigdy wprzódy mi się to nie dało tak uczuć, jak teraz. Jak mi ci ludzie winszują nieszczerze, jak mi szczerze zazdroszczą! Jak mi pochlebiają, jak mi się łaszą, jak czapkują, wiedząc, że mam zostać wielkim panem! Byłażby to wściekła radość między temi memi nowemi *wielbicielami* i *przyjaciołmi* (sami się tak nazywają), gdyby dla jakiego nadzwyczajnego powodu małżeństwo nie przyszło do skutku! ach, jakżeby się oni cieszyli, jakby się śmieli! Na szczęście nie przyjdzie do tego i przyjść nie może.“

„Byłem tedy dziś u mojéj narzeczonéj... Niechże Mateczka sobie tego na złe nie tłómaczy, jeżeli wczoraj napisałem, że mi się tam iść nie chciało. To nie dla tego abym ja Hieronimki nie lubił, owszem, wierz mi Mateczko, że mam prawdziwą dla niej sympatyą, a wobec tylu dowodów namiętnego jej do mnie przywiązania, musiałbym być chyba drewnianym manekinem albo marcypanowym juraszkiem, abym jej tego uczucia choć w części nie odwzajemniał. Nawet w takim razie, gdyby była brzydką jak noc, musiałaby się w mém sercu obudzić dla niej jakaś niezwykła wdzięczność, czy przyjaźń, czy litość... ja sam nie wiem, jak nazwać ten szczególniejszy rodzaj współczucia. Ona mnie tak kocha! Ona żyje mną i mną samym tylko: o mnie marzy, we mnie widzi wcielenie swego ideału, we mnie szczęście swoje całe. Gdyby mnie nie było, ona-by żyć nie mogła. Powiedziała mi to nieraz, i jestem przekonany, że mówiła prawdę. Nie, Mateczko, takby mnie nikt pokochać nie mógł na świecie jak ona. Popsuty jestem tą jej miłością tak nadmierną, nieludzką, chorobliwą

może i obłąkaną... ale zawsze miłością taką, jakiéj nikt dla mnie uczuć-by nie zdołał. Miło to być czyimś bóstwem, czyimś zdrowiem i życiem i szczęściem. Ta jéj miłość stała się już potrzebą méj duszy; czułbym się nieszczęśliwym, gdyby mi jéj zabrakło... Widzi Mama, jak ja się do niéj przywiązałem! A Mama mówi, że ja jéj nie kocham. Zaręczam Mamie, że to nie paradoks: czułbym nieprzezwyciężony *pociąg* do niéj, choćbym miał *wstręt* niezwalczony. Kochałbym ją, powtarzam to, choćby brzydką była jak noc, brzydką ciałem i duszą i szacunku mego niegodną, złą i głupią—byle mnie tak kochała jak mnie kocha... A taką przecież nie jest! Jest-to dziewczę jednostronnego wprawdzie, ale wysokiego zawsze wykształcenia; dobra i łagodna jak anioł, szacunek mam dla niéj wysoki, a brzydką jak noc nie jest. Nie powie nikt wprawdzie, aby była piękną, tem mniéj urodziwą; nie posiada ani klasycznych rysów, ani tego uroku młodości, którego w jéj wieku często i najbrzydszéj dziewczynie nie braknie. Ładną nikt jéj nie nazwie, chyba pochlebca, brzydką nazwie ją chyba ten, w kim serce śpi snem twardym, kto o piękności sądzi wedle matematycznych wymiarów rysunku, albo wedle odcieni karnacyi, jedném słowem: pedant-estetyk. Jest w niéj coś, co trudno słowem określić, a co człowiekowi wyższego umysłu nie dozwoli jéj nazwać brzydką. Powie Mama, że się nie potrzebuję wysilać na określenie tego tajemnego uroku, bo nie może być nim co innego, tylko piętno szlachetności w jéj całéj postaci, w jéj rysach, w wyrazie twarzy przynajmniéj. Otóż nie, szlachetności jéj serca, wyższego polotu jéj myśli nie odczyta z jéj twarzy, kto jéj nie zna bliżéj. Na pozór niby ona taka jak tysiące innych. A jednak jest coś w niéj, co nie dozwala od niéj oka oderwać, choćby się w gronie najpiękniejszych dziewcząt znalazła. Jest coś w wyrazie jéj twarzy tajemniczego, zagadkowego, sfinksowego, coś mistycznego — co, jak zaklęcie magnetyzera, wzrok nasz trzyma na uwięzi. Tak, ale magnetyzer zwycięża nas, przyciąga ku sobie ofiary swe, budząc w nich niewytłómaczoną sympatyę, któréj nie są w stanie się oprzéć, ona zaś sympatyi takiéj nie budzi ani postacią swą, ani swym głosem; owszem, są tacy, którzy mówią: ach, jakaż ona niemiła! jaki ma głos nieprzyjemny!... Może i jabym czasem to powiedział. Ona nie przyciąga ku sobie—w jéj całéj postaci nic nie ma coby przyciągało—ale ona... *czaruje*, prawdziwie, że czaruje! Gdybym był przesądnym, uwierzyłbym w czary. Piękności w niéj nie ma ani uroku—ale jest *czar* jakiś. Nie spieszno mi do niéj, gdy jéj nie widzę—nie tęsknię za nią, powiem szczerze: rad nawet jestem, gdy jestem od niéj zdala, ale gdy jestem przy niéj, czuję się pod władzą jakiegoś zaklęcia, jakiejś potęgi, z którą daremnie bym chciał walczyć. W stalaktytowéj jakiéj grocie lub

w głębiach kopalni oświecić ją ogniem bengalskim, a górnicy padną przed nią na kolana, jak przed królową podziemnych światów. Jakaś nie ziemska, ale pozaświatowa owiewa ją atmosfera; jakaś promienieje z jej wątłéj postaci siła nieprzezwyciężona, która nie nęci, nie wabi, nie pociąga ku sobie, ale w całém znaczeniu tego słowa: *czaruje*. Czaru tego doznaję w coraz wyższym stopniu. Czy to miłość? ja nie wiem. Może to i miłość. Ale jeżeli to miłość—to dziwnie mi z nią. Raz w życiu się kochałem—było mi wtedy całkiem inaczéj: było mi wtedy tak, jak śpiewają poeci, jak czują wszyscy zakochani przyjaciele moi... Mnie teraz całkiem inaczéj. Tak mi jest, jakbym był chory na sercu, poezyi we mnie nie ma, prozą oddycha każda moja myśl, niezdolny jestem cieszyć się ani smucić, fantazya usnęła, zmysły nie grają, zimny jestem jak lód, sam sobie z własnego stanu zdać nie umiem sprawy: radbym Hieronimę pokochać tak, jak się zwykle kocha—albo ją znienawidzić... a nie mogę ani jednego, ani drugiego; chciałbym być obojętnym—a i tego nie mogę. Dziwnie mi, bardzo dziwnie, ale to minąć musi. To jakieś przeobrażenie duszy, z którego odrodzona wskrześnie do nowego życia. Hieronimę postanowiłem pokochać sercem całém—i pokochać ją muszę. Ona warta tego.“

. . . .

— Czemuż nie czytasz Zosiu? — zapytała staruszka po dłuższéj pauzie.

— Pozwól mi pani odpocząć chwilkę—odrzekła Zosia przez łzy.

Obie zamilkły. Cisza była, słychać było tylko wicher szalejący na dworze i gwizdanie przeciągów w kominie i nad powałą.

Niepodsycany przygasał na kominku ogień.

Wreszcie odezwała się matka:

— Nie, on nie jest szczęśliwym!...

— Nie—powtórzyła Zosia, a głos jéj drżał od wzruszenia.

. . . .

„*28-go listopada*. Rozpisawszy się wczoraj o sobie, zapomniałem Mamie donieść, że Hieronimkę zastałem cierpiącą; przez czas kilkudniowego mego pobytu w Paprotce znowu była chorą, powiada, że jest zawsze chorą, jak mnie nie widzi. Trudno to przecież, abym wisiał przy niéj jak obraz na ścianie! Ile razy przy niéj jestem, patrzy ona w saméj rzeczy na mnie jak na obraz, jak święta Teresa na obraz Zbawiciela. Oka ze mnie nie spuszcza, jakby była w ekstazie, a gdy ja wdam się w rozmowę z jéj matką i przez chwil kilka nie spojrzę na nią, z bolesną skargą przywoływa mnie do porządku, takim żałosnym tonem, jakbym jéj największą wyrządził krzywdę. Tak przecież zawsze nie może być! Umarłbym pod wpływem takie-

go magnetyzmu. Nie uwierzy Mama, jak mnie to męczy. Moja Święta-Teresa powiada mi, że rozkosz zbawionych w Królestwie Niebieskiém na tém ma polegać, że będą Bogu twarz w twarz patrzéć przez wieczność całą—i że ona podobną żyje rozkoszą tu na ziemi, gdy jestem przy niéj, a chciałaby, aby to wieki trwało. Miałem ochotę jéj powiedzieć, że ja nie życzyłbym sobie tego, alem zamilkł: byłoby to jéj zanadto bolesne. Dziś ją trzeba oszczędzać; ona taka chora, taka nerwowa, taka mizerna! Kaszel jéj bardzo mi się nie podoba, a wzmógł się znacznie od czasu mego wyjazdu. Kiedyś, jak przyjdzie do sił i zdrowia, będzie ją można z téj nad miernéj egzaltacyi wyleczyć, bo mnie to formalnie zamęcza. Takie mam uczucie pod wpływem tych jéj czarnych oczu wpatrzonych we mnie, jakby mi ona duszę wzrokiem wypijała. Nie zrozumie Mama tego wyrażenia, które się Mamie ekscentrycznem wyda, bo nigdy Mama czegoś podobnego w życiu nie doznała. Przesiedziawszy z nią cały wieczór, wychodzę z jakimś szczególnym zawrotem głowy, odurzony jakby po zażyciu haczyszu, tylko, że upojenie nie jest bynajmniéj tak rozkoszném, jakiego mają doznawać Arabi; chorym się czuję i roznerwowanym, jak nigdy nim nie bywałem w życiu. Któryś z poetów niemieckich, nie pomnę który, pisze o kochanku, który zrządzeniem niebios miał od urodzenia wyciśnięty na siatkówce oka wizerunek swojéj kochanki i gdziekolwiek spojrzał, wszędzie widział mglisty jéj obraz. Otóż ja teraz czegoś podobnego doznaję. Gdziekolwiek spojrzę i na jakikolwiek przedmiot, wszędzie widzę wpatrzone we mnie jéj żrenice. Widzę je w ciemnym pokoju, nawet gdy zamknę powieki; idąc ulicą widzę je w powietrzu zawieszone przedemną w téj odległości, z jakiéj ona zwykle na mnie patrzy. Czytałem dziś jakąś kartkę pogrzebową przylepioną na rogu kamienicy, z kartki téj patrzały na mnie oczy Hieronimki. Pisząc list ten, drgnie mi czasem ręka, gdy zamyśliwszy się o czem, nagle się ocknę ujrzawszy je pod ostrzem pióra na białéj ćwiartce papieru. Śmiać się muszę z mojéj chorobliwie podrażnionéj wyobraźni, wczoraj jedząc obiad obaczyłem je w filiżance bulionu, w naleśnikach z powidłami. Tak dłużéj nie może być. Zwaryowałbym, śmiejąc się sam z siebie. Jeżeli nie potrafię okiełznać rozbujałych nerwów, powiem jéj wprost, że mnie zabija tém magnetyzowaniem.“

„Jaś, skutkiem otrzymanego listu z Warszawy, musi przyspieszyć swój wyjazd. Tak mało korzystać mogłem z jego bytności.“

. . . .

„*29-go listopada.* Moje panie zastałem dziś smutne i spłakane, Hieronia miała spazmy. Zostały one ogromnie zaalarmowane listem,

który otrzymała pani Sarska od syna z Paryża. Była to odpowiedź na jéj list, którym mu doniosła o naszych zaręczynach. List swój wyprawiła do Nicei, gdzie p. Lucyan miał bawić przez zimę, ale go tam nie zastał. Gonił tedy za nim ów list po całych Włoszech i po Szwajcaryi, aż nareszcie z Vevey odesłano mu go do Paryża. Panicz raczył oświadczyć swéj matce wysokie swoje niezadowolenie. Listu jego nie chciano mi pokazać, ale domyślam się jego treści i tonu, z przytoczonych mi, najmniéj niby rażących ustępów. Daje on w liście tym swéj matce słowo honoru, że póki on żyje, jego siostra nie zrobi mezaliansu. Głupiec! Komu to sądzić o wartości ludzi i o mezaliansie, czy takiemu jak on młokosowi, który od lat dwóch wydostawszy się z pod kierunku guwernera, pędzi życie na próżniaczéj włóczędze zagranicą? Mezalians! tu jeszcze wielkie pytanie, kto się z nas dwojga mezaliansu dopuszcza. Ja na ołtarzu domowym składam skarby, których i za miliony nikt nie nabędzie, zdrów jestem i silny, a czuję w sobie dość zdolności i woli, aby pójść z losem w zapasy i wywalczyć sobie stanowisko zaszczytne, byt dostatni i zdobyć poważanie świata, którego p. Lucyan, mimo dziewięcioperłowéj korony, nigdy mieć nie będzie. A ona? Mnie nie potrzeba jéj tytułu i jéj milionowego majątku. Jabym wolał, aby mi przyniosła w posagu zdrowy umysł i zdrowe ciało i koligacyę z serdeczną jaką rodziną i nadzieję zdrowego potomstwa. Cóż ona mi z tego wszystkiego przynosi? Nic zgoła!... Nie zazdrościłem nigdy skarłowaciałym potomkom wielkich rodów. Zazdrości godnym wydał mi się raczéj zawsze *protoplasta* nowego rodu, pełnego młodzieńczéj siły i zasobów do walki. Marząc o ożenieniu od lat najmłodszych, jam marzył zawsze o poczciwém dziewczęciu – ot, takiém jak.....“

I zabrakło czytelniczce głosu. Żywym rumieńcem spłonęły jéj lica.

— Jak kto?

Zebrało się dziewczę na odwagę i czytało daléj:

......„jak Zosia... zdrowém jak jabłuszko, świeżém jak kwiat, któreby mi dało synów, dzielnych duchem i ciałem. Jakąż biedna Hieronia obdarzyć mnie może dziatwą? Trumienki widzę przed sobą w marzeniu, gdy o tém pomyślę, i chérlaków podtrzymywanych sztuką lekarską przy życiu, którymby lepiéj było nie rodzić się wcale. Mrowie mnie przechodzi i pragnąłbym, abyśmy wcale nie mieli dzieci, poco nam tych obaw i pogrzebów i rozpaczy?“....

Nowa przerwa.

W téj ciszy wieczornéj nadsłuchiwała staruszka. U ślepych dusza cała w słuchu. Pochwycą oni tak drobne szmery i dźwięki

odróżnią tak nieznaczne głosu modulacye, że cudowną prawie się wydaje przenikliwość ich w téj mierze.

— Ty płaczesz Zosiu!—rzekła wzruszona.

— Nie pani!—i usuwając się do kolan staruszki, ucałowała jéj rękę.

Pogłaskała ją ślepa po twarzy, łzy uczuła na dłoni.

— Płaczesz! — i rozczulona obiema rękami objęła jéj główkę, przycisnęła do serca, okryła pocałunkami jéj czoło, jéj twarz i oczy, wilgotne od łez.

Z rozkoszą utulonego przez matkę dziecięcia dała się Zosia całować i pieścić. Napróżno starała się łzy powstrzymać, płynęły one ciągle nieprzerwaną strugą.

Dreszcz ją jakiś rozkoszny przebiegał od całusów téj ślepéj staruszki. Drżała w jéj ramionach, jakby w objęciu ukochanego. Serce biło głośném tętnem, rumieniła się naprzemian i bladła. Pocałunek matki tak na nią działał, jakby pocałunek syna.

Silniéj przycisnęła drżącą staruszka do łona i rzekła smutnie:

— Zosiu... ty go kochasz!

Głośne szlochanie dziewczyny było jéj odpowiedzią.

— Biedne dziecko!

A szlochając leżała w jéj ramionach dziewczyna. Nieme łzy matki padały dużemi kroplami na jéj głowę.

Ani słowa pociechy, ani słowa skargi.

Na co tu słów?

Wypłakała się dziewczyna, ukoiła ból w sercu, raz jeszcze ucałowała *jego* matkę, jakby matkę rodzoną i powstając rzekła smutnie, ale spokojnie:

— Będę czytać daléj.

Westchnęła staruszka.

— Czytaj, dziecko moje!

— „Samotność we dwoje, zapełniona ciągłém staraniem o jéj wątłe zdrowie, spędzona w chorobliwéj jakiejś miłosnéj ekstazie, somnambuliczna jakaś wędrówka po drodze żywota... jednostajna, smutna, nudna, jak podróż po Saharze... a przytém dostatki, bogactwo, znaczenie: oto co mnie czeka. Hieronima sypia do południa—ranki będzie można spędzić na pracy, a majątkiem podpierać w kraju wszystko co zacne: tyle dla mnie szczęścia i przyszłości."

„Nie mam innych marzeń. Zerwałem z niemi i pogodziłem się z moim losem. Silny jestem i przygotowany na wszystko, co mnie czeka. Nie bój się Mateczko o mnie."

„*30-go listopada.* Panie moje dziś spokojniejsze. Wyperswadowałem im, że ten fajerwerk słów w liście p. Lucyana jest tylko młodzieniaszkowatym fajerwerkiem i nic więcéj. Odważniéj oczekują

zapowiedzianego jego w tych dniach przyjazdu. Powiem mu słowa prawdy i sądzę, że zdołam go przywieść do opamiętania. Niepodobna przecież, aby mu zdrowie siostry całkiem obojętném być miało. A gdyby to wszystko nie pomogło, powiem mu po prostu: bądź pan zdrów, ja pana znać nie chcę i nie potrzebuję—a matka Hieroni dom przed nim zamknie, przyrzekła mi to. Odwiedzę także wszystkich krewnych Hieroni, aby wpłynęli z swéj strony na skapryszonego panicza. Byłem już u kilku i znalazłem wszędzie przyjęcie znacznie lepsze, niż się spodziewałem, znając ten świat salonowy. Niektórzy stanęli ze mną odrazu na stopie prawie tak przyjaznéj, jakbym już był członkiem rodziny. Najserdeczniéj przyjął mnie poczciwy p. Eugeniusz. U jednego tylko p. Jerzego szczególniejsze mnie spotkało zdarzenie. Jak Mateczce wiadomo, dawałem tam niegdyś lekcye literatury pannie Jadwidze; otóż będąc obecnie u p. Jerzego, zapytałem: kto ją teraz uczy. Nie mamy nikogo, odrzekł p. Jerzy, czy nie mógłbyś nam pan kogo polecić? — Siebie! odpowiedziałem, jeżeliście państwo byli z mych wykładów zadowoleni. — O tem pan nie możesz wątpić, córka nasza skorzystała nadzwyczaj wiele i nie może odżałować swego nauczyciela,—ale teraz nie śmielibyśmy pana trudzić.—Miléj-by mi było dawać lekcye w domu państwa, niż gdzieindziéj, a szukam właśnie lekcyi.—Państwo Jerzowie spojrzeli na mnie i na siebie z nieudaném zadziwieniem. Pan Jerzy się roześmiał Pan żartujesz?—Bynajmniéj!—Przecież pan lekcyj teraz dawać niepotrzebujesz! zawołał.—Żeniąc się z naszą kuzynką! dodała pani Jerzowa.—Z czegóżbym żył? odpowiedziałem.—Pan Jerzy zrozumiał to jako delikatną z méj strony przymówkę o pożyczenie pieniędzy. Oczywiście nie przyjąłem propozycyi. Będę miał więc lekcye w ich domu—mam prócz tego jeszcze w dwóch innych domach—a to mi na teraz wystarczy... Ach, prawda! zapomniałem jeszcze o jednym szczególe charakterystycznym. Porozumiawszy się ze mną co do godzin, w których mam przychodzić, dodała pani Jerzowa: Ale pozwolisz pan, że my sami wyznaczymy honoraryum, dla tak znakomitego profesora.—Nie potrzebuję Mamę zapewniać, że oświadczyłem na to, iż większéj zapłaty od téj którą brałem, nie przyjmę."

. . . .

„*1-go grudnia.* Nie miły miałem dziś dzień. Byłem w południe u Hieruni, zastałem ją kaszlącą więcéj, niż zwykle, roznerwowaną przytém w wysokim stopniu i tak osłabioną, że leżąc na sofie zaledwie mogła obrócić głowę ku mnie. Okna były nawpół przysłonięte, bo ją światło razi. A gorąco w pokoju piekielne, jak w łaźni parowéj. Patrzyła mi w oczy jak zwykle, ale powieki jéj się zamykały co chwila i wśród rozmowy—a raczéj słuchając mnie z natężoną

uwagą, zadrzémała. Wynieśliśmy się z jéj matką na palcach do drugiego pokoju. Przyszedł właśnie lekarz. Zapytałem go o Hierunię. Uspokoił mnie, że stan jéj nie jest jeszcze niebezpiecznym, ale dodał, że staćby nim się mógł nadzwyczaj łatwo. Każde większe wzruszenie mogłoby groźne sprowadzić następstwa. Zimę tę, wedle jego zdania, należało przepędzić we Włoszech, w obecnym jednak stanie jéj zdrowia, nie ma mowy, aby przed wiosną mogła wyjść z pokoju, a tembardziéj, aby można ją narazić na trudy tak dalekiéj podróży. Ślub nasz zatem odbędzie się w mieszkaniu. Hierunia wie już o tém i ciągle tylko marzy, jak salon przystroić na tę uroczystość. Pragnie, aby było tak świetnie, tak bogato, jakby ona królewną była a ja, co najmniéj, szachem perskim. Biedne dziewczę! jak mi jéj żal! Pytałem doktora, czy to dobrze, że w jéj pokoju tak gorąco. Zalecił to jak najmocniéj. Natomiast zganił, że story pospuszczane. Jéj potrzeba jaknajwięcéj światła, jak najwięcéj słońca, jak najwięcéj powietrza. Powiedziałem to Hieruni, gdy się przebudziła; w tym na wpół ciemnym pokoju nie spostrzegłem zrazu, wróciwszy do niéj, że płacze; płakała, bo otworzywszy oczy, nie ujrzała mnie siedzącego przy sobie na tém miejscu, gdzie siedziałem przy jéj zaśnięciu. Dłuższego czasu trzeba było, zanim się nieco uspokoiła po tak straszném zmartwieniu.—Mnie razi to szkaradne słońce!— rzekła mi tym swoim żałośnym, złamanym, omdlewającym tonem głosu, który nigdy innéj nie przybiera modulacyi, jakby wieczysta skarga brzmiała w jéj ustach.—Szkaradne słońce!—powtórzyła kilkakrotnie. Jabym chciała, żeby było zawsze ciemno, całkiem ciemno na świecie i żebym tylko ciebie widziała.—Martwisz mnie, droga moja, rzekłem jéj. Czy sądzisz, że będę się czuł szczęśliwym, jak będę cię widział chorą? Tobie do zdrowia potrzeba słońca i powietrza.— Nie, nie, nie chcę słońca. Nie potrzeba mi powietrza; kiedyś ty przy mnie, to mi tak lekko oddychać, ja *tobą* oddycham. Tyś mojém słońcem, mojém powietrzem, mojém życiem!... Cóż jéj na to odpowiedziéć? Siedziałem przy niéj i patrzałem na nią, trzymając ją za rękę. Rączkę ma ładną, malutką, ale tak chudą jak ręka szkieletu. Ręka ciągle spocona, a wargi spalone od gorączki. To niedobrze.—Mówiłem do niéj zrazu o tém i o owém, opowiadałem co mi przyszło na myśl, starałem się ją rozweselić. Ale jéj nigdy niczém rozweselić nie można; rzadko kiedy zdarzyło mi się ją widziéć uśmiechniętą, śmiechu jéj nie słyszałem nigdy, chyba w napadzie spazmów śmiech z płaczem zmięszany. Dziwna istota, jakby nie z tego świata!— Spostrzegłem, że ją rozmowa męczy. Umilkłem zatém i siedzieliśmy tak, niemi, naprzeciw siebie, patrząc sobie w oczy może z godzinę. Ach, jak mnie to męczy! a stokroć bardziéj jeszcze w tém tropikal-

ném gorącu! Prawdziwe tortury, siedzieć w na wpół ciemnym pokoju, nic nie robić, nic nie mówić, patrzyć się w oczy i—pocić się jakby w piecu piekarskim. Nigdyby Mama nie zgadła, o czem wtedy myślałem. Starałem się odbiedz myślą daleko, daleko, bo gdy zwracam uwagę na te jéj czarne źrenice wpatrzone we mnie, to mi się głowa kręci. Nie wiem czemu, przypomniałem sobie dziecięce i studenckie moje lata, wakacye spędzane w Paprotce i dni najweselsze, gdyśmy pojechali do Suchorębu. Prawem jakiejś wyobraźniowéj antytezy, żywo stanęły mi w pamięci te jasne jak gwiazdeczki oczęta panny Zofii, to szczęście, które w nich promieniało. Ach Mateczko, to były najlepsze dni mego życia...“

— Zosiu! Zosiu!... i wyciągnęła staruszka ramiona ku swéj lektorce, czując w rzewnym jéj głosie ból, który jéj serce rozrywał.

Ale Zosia serce przycisnęła ręką, aby milczało i urywanym głosem czytała daléj. W oczach jéj ćmiły się litery, łzy rzęsistym deszczem padały na papier.

„...to były najlepsze dni mego życia, ich wspomnienie więcéj dla mnie warte od całéj mojéj przyszłości. W chłopięcéj naiwności ja wtedy myślałem... ale pocóż to dziś powtarzać! Zapomniałem wtedy, że Zosia bogata a mnie się o jéj rękę ubiegać nie wolno... Chciałem pracą wytrwałą dobić się stanowiska... ale to tak trudno! to tak wiele lat na to potrzeba.... a rok za rokiem ulatał. I przyszedł rok bieżący i przyniósł mi los, którego mi świat zazdrości, przyniósł mi szczęście — czarne szczęście... w czarnych oczach Hieruni... Głos jéj drżący, niemiły, ocucił mnie z marzenia.—Czy ty wierzysz temu, mój drogi, że jabym bez ciebie umarła?...—Wierzę! odrzekłem.—Oh, jabym nietylko umarła... i urwała myśl zaczętą. Po dłuższém milczeniu dodała: nietylko umarłabym dla ziemi... ale i dusza moja bez twéj miłości zagasłaby na wieki, rozwiałaby się jak mgła... w nicość... w nicość... Jak mnie ona kocha, nieszczęśliwa!...“

„*2-go grudnia.* Rozpisałem się wczoraj o Zosi. O Mateczko, niech ona nigdy się o tém nie dowie, żem ja ją tak kochał... ale pocóż mam kłamać? pocóż mówię, żem *kochał*, kiedy kocham szalenie... pierwszą i ostatnią miłością. Nigdy tego tak silnie nie czułem, nie pojmowałem tak jasno, jak przy Hieruni. Ilem razy przy niéj, to na myśl ciągle przychodzi mi Zosia!...“

— O pani, pani!... jaka ja nieszczęśliwa!

— Dziecko moje!—i przycisnęła ją do serca staruszka, ocierając łzy z jéj oczu.

Przycisnęła Zosia do swych ust różanych ten list, te wyrazy beznadziejnej miłości, i czytała daléj:

„...Z myślą o niéj usnąłem. Śniła mi się. Widziałem ją we śnie—ale jak? Widziałem ją leżącą na katafalku... Sen mara... To nie sen, to prawda, ona dla mnie umarła..."

„Rano odbyłem moje lekcye a dzień cały, prawie aż do północy, spędziłem przy Hieruni. Odsłonięto dziś story, znacznie jéj lepiéj, ale znowu zmieniła się na niekorzyść. W półcieniu i przy świetle wieczornèm wydaje się ona najlepiéj. Ona ma słuszność, że słońca nie lubi. Przypatrywałem się dziś jéj fotografii, robionéj przed trzema miesiącami, jakaż to różnica olbrzymia! Na fotografii każdy wygląda starszym, a ona na téj fotografii o lat kilka młodszą się wydaje. Wówczas była prawie przystojną w porównaniu z tém, co dzisiaj. Okrutnie jestem znużony, niepodobna mi dziś z Tobą dłużéj rozmawiać, Mateczko moja."

. . . .

„*3-go grudnia.* Pani Sarska wypytywała mnie dziś szczegółowo o moją rodzinę. Z treści jéj pytań domyślać się muszę jakichś plotek—prawdopodobnie o ciotce Malwinie, jéj mężu i dzieciach. Oświadczyłem jéj wyraźnie, że cała rodzina moja, to Ty Mateczko, którą Hierunia winna czcić i kochać jak matkę swą własną. A co do ciotki, powiedziałem, że bynajmniéj nie uważam za obowiązek méj przyszłéj żony uważanie jéj za krewną, a tém mniéj jéj dzieci, z któremi stosunki moje są bardzo oziębłe. — Hierunia wybiera się pisać do Ciebie z prośbą o błogosławieństwo, ale jéj to z wielką przychodzi trudnością. W tych dniach uczynić tego nie będzie mogła. Jest jeszcze zanadto osłabioną. Ale powinna to była już dawniéj uczynić. Kilka razy zadała mi pytanie, na co się zda, aby pisała do Ciebie, skoro Ty listu jéj sama czytać nie będziesz.—Napisz ty za mnie, powtarzała, ty lepiéj napiszesz.—Nie mogę, moja droga, odrzekłem, trzeba aby to były twoje własne wyrazy, twoje własne myśli i uczucia.—Drogi mój! ja nie mam żadnych myśli prócz ciebie! całe moje uczucie, to tylko ty. — A więc Hieruniu, napisz *to* właśnie matce mojéj. Nic milszego powiedziéć jéj nie zdołasz.— Och, jak ty ciężkiéj odemnie wymagasz rzeczy!... I zalała się łzami. Niech jéj Mama tego nie ma za złe: ona chora.—Widzi Mama, jak ja jestem szczery, wszystko piszę."

„*4-go grudnia.* Hieronima zasiadła dziś do swéj fisharmoniki i zaczęła grać. Zdaje mi się, żem Mameczce mówił, że gra bardzo biegle i z wielkiem czuciem na tym instrumencie. Po kilku akordach słabo jéj się jednak zrobiło i zemdlała. Przyszedłszy do siebie, zaczęła spazmować. Spazmy ustały, teraz niesłychanie osłabiona i kaszle znowu gwałtowniéj. Siedziałem tam do późna. Już kolo 1-széj w nocy. Kończę, bo rano mi wstać wypada, aby się do jutrzejszych wykładów przygotować."

„*5-go grudnia.* Panie moje dowiedziały się, nie wiem już od kogo, że ja daję lekcye w mieście, tak jak dawniéj. Pani Sarska była tém niesłychanie zgorszoną i oburzoną, że narzeczony jéj córki *zarobkuje.* Hierunia płakała z innego powodu, nie dla dumy obrażonéj, ale czuła się najboleśniéj tém dotkniętą, że nie zażądałem od niéj pieniędzy potrzebnych mi na utrzymanie, lecz własną zarabiam je pracą. Poczytała to za dowód, żem się nie zespolił z nią jeszcze takiém uczuciem, aby wszystko co posiada, uważać za wspólne— a raczéj ją samą z całym jéj majątkiem za moją własność, którą do woli rozporządzać mogę. Musiałem wielką przetrwać nawałnicę łez i próśb i wyrzutów i zaklęć. Obie chciały mi opakować pulares banknotami. Oczywiście nic nie przyjąłem. Hieruni udało mi się w końcu wytłómaczyć, że *świętość* miłości naszéj, że godność moja osobista wymaga, abym aż do naszego ślubu nie tknął jéj majątku. Powiedziałem jéj, żebym się czuł nieszczęśliwym, gdyby mnie do tego zmusiła, że wtedy nie byłbym w stanie tak ją kochać, jak ją kocham teraz. I uległa. Z hrabiną trudniejsza była przeprawa. Opór mój nazywa uporem i zdaje jéj się, że wyrządzam tém *zarobkowaniem* krzywdę jéj domowi i nazwisku. Wszak niktby o tém nie potrzebował wiedziéć, rzekła w końcu, żeś pan wziął odemnie pieniądze, które za dni niewiele staną się twoją własnością.—Ja sam wiedziałbym o tém, odparłem, a to dosyć. Upokorzałoby mnie to, a ja upokorzenia nie znoszę. Masz pani swoją dumę, ja mam moją.—Oh, czyż ja nie ugięłam dumy mojéj wobec pana, zawołała, błagając go, abyś moją córkę poślubił! ileż ja upokorzenia już zniosę!...“

„*6-go grudnia.* Przekonałem się, Mameczko, że oprócz powodów wczoraj wymienionych, Hierunia dla innéj jeszcze przyczyny tak boleje nad tém, że nie przestałem dawać lekcyi. Zazdrość! Nigdy nie przypuszczałem, żeby ona była zazdrosną. Przez jakąż szczegółową dziś przechodziłem indagacyę!... Cóżby to się działo z biedaczką, gdyby czytała ustęp w liście moim do Mameczki, gdzie się rozpisałem o pannie Zofii. Nie wie ona, o kogo mogłaby być zazdrosną. Pragnęłaby zażegnać niebezpieczeństwa, jakieby mogły grozić jéj miłości... napróżno się szamoce. Jam je sam już zażegnał, i sam sobie ślubował, że się jéj oddam na ofiarę. Będę sobie wiernym. Miłości jéj nic nie grozi. Może być spokojną. Nikt jéj puharu z rąk nie wytrąci: wypije z niego duszę moją i moje życie do ostatniéj kropli aż do dna...“

. . . .

„*8-go grudnia.* Nie pisałem wczoraj do Mateczki. Zanadto byłem zirytowany tém, co się działo, a właściwie tém, iż widząc, że się coś niezwykłego dzieje, nie wiedziałem, co się to dzieje. Oto tak:

wczoraj w południe poszedłem jak zwykle do Hieruni. Lokaj zatrzymał mnie w przedpokoju i oświadczył, że pani hrabina prosi, abym nie szedł do panny hrabianki, tylko do małego saloniku po drugiéj stronie, bo chce ze mną wprzódy pomówić. Za chwilę przyszła hrabina, widocznie wielce zalterowana, i powiedziała mi, że Hierunia od rana ma prawie nieustanne spazmy a obecnie usnęła. Dodała, że doktór surowo nakazał, aby z nią teraz nie rozmawiać i aby jéj nie rozbudzać z tego stanu moralnéj prostracyi, w jakim się w téj chwili znajduje. Obecność moja mogłaby szkodliwie bardzo na nią podziałać. Prosi mnie zatém, abym przyszedł dopiero wieczorem—i to aż po ósméj. Zachowanie się pani Sarskiéj było przytém niby to przyjazne jak zwykle, ale zaambarasowania swego ukryć nie mogła. Czułem, że coś zaszło niezwykłego.“

„Przyszedłem po ósméj. Hierunia przyjęła mnie tak gorącém powitaniem, z tak serdeczném rozrzewnieniem ukojonéj mojem przybyciem tęsknoty, jak może nigdy jeszcze. Aż jéj pięknie z tém było, tyle było prawdy w tém wylaniu wezbranego uczucia. Niesłychanie była mizerną, widocznie spłakaną. Ręce jéj nie drżały, ale drgały od czasu do czasu tajemnem wstrząśnieniem. Z początku mówiliśmy bardzo mało, patrząc tylko na siebie jak zwykle i ściskając się za ręce. Potém uspokoiła się nieco i zażądała wody z sokiem malinowym. Gdy jéj przyniesiono ten specyał ulubiony, uparła się, abyśmy oboje z jednéj pili szklanki. Orzeźwił ją ten napój, jakby kordyał jaki, uśmiechała się melancholijnie i stała się rozmowniejszą. Ten głos jéj złamany, jakby omdlewający, ta monotonna, przeciągła modulacya żałosnéj skargi nabierała chwilami niezwykłéj jakiejś siły, wyrazu i uczucia. Ta jéj postać nieświecka, w półcieniu przyćmionéj umbrelką lampy, nabierała dziwnego jakiegoś czaru poezyi i piękna. Mówiła bardzo pomału, jakby ją to wiele kosztowało wysilenia. W długich przerwach padały wyrazy.—Czy myślisz, mój jedyny, rzekła mi, że ja pragnę życia?... Życia? o nie!... Ja tylko miłości twéj pragnę!—A więc żyj, najdroższa, i kochaj mnie.—Cóż życie warte? żyć, to tyle co cierpieć. Życie, to męka nieznośna... Drogi mój, jabym cię mogła kochać—umarła. O jakżebym ja cię wtedy kochała!... Tak krótko codzień jesteśmy razem. Wtedy byłabym z tobą zawsze. Na ramieniu nosiłbyś mnie, jak ptaszynę. A ciąglebym w twe oczy patrzyła tak—tak jak w téj chwili... Och, gdybym ja umarła! gdybym ja umrzéć mogła!... Jakżebym była szczęśliwą!—Nie mów tego, Hieruniu, rzekłem: czyż teraz szczęśliwą nie jesteś? chciałabyś mnie opuścić?—O, tybyś był wtedy szczęśliwym, gdybyś mnie umarłą kochał... Niktby ci wtedy nie pozazdrościł szczęścia!... Oh, ty niewiesz, jam się wplotła w jasną przędzę twego życia, jak czarna nić...

o jakżebym pragnęła umrzéć!—Hieruniu, zkądże ci dziś te myśli o śmierci? tobie się życie uśmiecha!—O nie, nie, luby mój! ja od dawna już o niczém nie marzę, tylko o śmierci. Jam ci tego mówić nie chciała, aby cię nie zasmucić. Ale dziś, dziś, to tak jej pragnę namiętnie... namiętnie... jak ciebie mój luby, jak twojego kochania. Ja was oboje kocham jednako! o tak!... namiętném pragnieniem twoją zdobyłam miłość... ja i śmierć tak zdobędę!"

„Dziwnie przykre na mnie wywarł wrażenie ten chorobliwy nastrój jéj myśli. Nadaremne były wszelkie moje usiłowania, aby zmienić przedmiot rozmowy. Pochwyciła mnie żywiéj za ręce:— Ale ty mnie będziesz kochał wiecznie, żywą i umarłą? Przysięgnij mi, przysięgnij, że do grobu kochać będziesz mnie jedną .. i po za grób! —Moja droga: kto kocha, ten wierzy; gdzie miłość nie wiąże, tamby nie związała przysięga. Podniosła moją rękę do swych ust i namiętnemi okryła ją pocałunkami.—Wiesz luby, rzekła mi pochwili tych szczególnych pieszczot, którym się oprzeć nie mogłem, wiesz luby, jabym tak mogła umrzéć lekko, rozkosznie... tak niewiele potrzeba abym umarła... abym umarła i zamieszkała w twém sercu na zawsze! Kiedy mówię do ciebie, to dusza moja wyrywa się z serca i jest wtedy, wiesz gdzie?... Przerwała i lekkim rumieńcem powlokły się jéj lica:—wiesz gdzie?... tu, na ustach moich!... Weź ją! weź!—i kładąc mi głowę na piersi, przechyliła ku mnie swe usta. Gorący jéj oddech owionął mnie, krew mi uderzyła do głowy, niby odurzenie, niby dreszcz, dziwnego coś uczułem: spojrzałem na nią i pocałowałem ją w czoło."

„Usta!—powtarzała, usta!—Nie, moja droga, rzekłem podnosząc jéj głowę i klęknąwszy przed nią, całowałem jéj ręce: nie, nie wolno mi dotknąć ust twoich dzisiaj! rozgorączkowaną chorobliwie masz wyobraźnię. Ja pragnę, aby mój pierwszy pocałunek życie wlał w ciebie, a ty go pragniesz jak pocałunku śmierci. Bądź zdrowa. Czarujesz mnie, szał mnie ogarnia, jak cię słyszę tak mówiącą, i w końcu sambym gotów śmierci zapragnąć."

„Tak się skończył dzień wczorajszy. Dzisiaj znowu powtórzyło się coś podobnego. Gdy przyszedłem w południe, nie puszczono mnie do Hieruni z takich samych, niby jak wczoraj powodów. Wyszła do mnie hrabina, drżąca od wzruszenia, którego przyczyny nie chciała mi odsłonić. Natomiast, po dłuższych preliminaryach, że jako kobiéta nie może sobie dać rady w interesach majątkowych itp., wystąpiła z prośbą, abym dla załatwienia jakichś nadzwyczaj ważnych a naglących spraw wyjechał dziś wieczór do jéj dóbr na Ukrainę, do nikogo bowiem nie ma zaufania, tylko do mnie, i nikomu innemu powierzyć ich nie może, tylko swemu przyszłemu zięciowi. Zadziwiło

mnie trochę to żądanie, wiedząc jak szkodliwie na zdrowie Hieronimy wpływa moja nieobecność, o czem mi zresztą sama hrabina tyle razy mówiła. Wszak, gdym na dwa dni do Ciebie Mateczko wyjeżdżał, miała mi to za złe. Wypytałem ją jednak o te tak ważne i niecierpiące zwłoki interesa. Odpowiedź jéj była tak ogólnikową, interes, o ile mi w jaśniejszéj przedstawiał się formie, tak mi się wydał błahym, że uważałem za rzecz najodpowiedniejszą powiedzieć jéj, iż jako kobiéta nie jest obeznaną z tego rodzaju sprawami, alarmuje się więc niepotrzebnie i myli się, poczytując przedstawiony mi interes za rzecz naglącą. Odmówiłem stanowczo podjąć się teraz załatwienia tegoż. Zdrowie Hieruni wymaga,—dodałem w końcu, abym tu pozostał, a to dla mnie wzgląd najważniejszy. Próbowała nalegać, przekonała się jednak z widocznéni zmartwieniem, że to nadaremne.“

„Wieczorem widziałem Hierunię. Znowu zapłakana, roznerwowana, cierpiąca. Kaszel jéj wzmógł się bardzo od dwóch dni. Nie chciała mi wyznać powodów swego zmartwienia, łzy nieustannie spływały jéj po twarzy. Milczała prawie przez cały wieczór. Powiedziała mi tylko z wyrzutem: Nie chciałeś spełnić maminéj prośby! źle zrobiłeś! Mnie smutno bez ciebie, jakby mi kto pół serca zabrał, ale byłabym spokojniejszą...—Czemuż cię niepokoi *moja obecność*? zapytałem. Nie próbowała wmawiać we mnie, że ją owe kłopotliwe interesa niepokoją. Spojrzała tylko zwykłem powłóczystem spojrzeniem i rzekła: Ja sama nie wiem czemu. Radabym, abyś tu teraz nie był i zjawił się dopiéro w dzień naszego ślubu... Jedź mój drogi, jedź do matki twojéj!... Czemu? jak? dlaczego? nie mogłem się dowiedzieć... Dowiedziałem się dopiéro i wyjaśniło mi się wszystko, gdym ją pożegnał.“

„Wracając do mego mieszkania, spotkałem na ulicy poczciwego p. Eugeniusza, prawdziwą perłę całéj rodziny Sarskich.—Czy widziałeś Lucyana? zapytał.—Nie; czy przyjechał? —Od dwóch dni. Ale to czysty waryat! zawołał. Nic nie wiesz?... Chyba nie byłeś u narzeczonéj?—Owszem, ztamtąd wracam.—Aaaa, *serdeńko*, to ci nie powiedziały, że on przyjechał!. . Ale nie obawiaj się, kochany. Wszystko się to ułoży. Ten waryat utrzymuje, że ci dom wymówiono, że wszystko zerwane... Nie mogę ci na ulicy wszystkiego opowiedzieć, serdeńko. Przyjdź do mnie jutro wieczór; wiesz, jutro przyjmuję. Oczywiście, sami będą mężczyźni, jak zwykle.“

. . . .

„*11-go grudnia.* Trzy dni nie pisałem do Mateczki. Powiedziała mi raz Mama, że listy moje powinny być wiernem zwierciadłem mojéj duszy. Od tego czasu, ile razy się zabieram pisać do Mamy i uj-

rzę przed sobą białą ćwiartkę papieru, wyobrażam sobie, że to źwierciadło, w którém się twarz moja źwierciedli i fotografuje zarazem. Otóż przez te trzy dni ubiegłe, bałem się pisać do mateczki, wstyd mi było fotografować się w tém usposobieniu, w jakiem byłem... *w tych usposobieniach*, powinienem raczéj powiedzieć. Nie chciałem, aby z wyrazów listu mego przeglądały na przemian wszystkie miny i grymasy gniewu, znudzenia, znużenia, złości, oburzenia, zniechęcenia, wściekłości... a najniewątpliwiéj wszystkieby się tam były znalazły. Dziś, gdy już burza minęła a dramat przygotowany przez p. Lucyana zakończył się komedyą, przystępuję do sprawozdania. Jak po zwycięzkiéj kampanii, humor miałbym wyborny, psuje mi go tylko stan zdrowia Hieruni, która znowu ma się gorzéj: kaszle, na chustce nawet krew się pokazała, a wieczorami miewa silną gorączkę, w któréj fantazyuje nieustannie i mówi prawie od rzeczy. Lekarze nie widzą w tém jednak jeszcze zbyt groźnych symptomatów.“

„Ale wracam do sprawozdania. Otóż nazajutrz po ostatnim ustępie mego listu, rano, raniutko, zanim wyszedłem na lekcye z domu, puka ktoś do drzwi i wchodzi żyd faktor, znana w naszém mieście figura, z którą jednak żadnych dotąd nie miałem stosunków. —A! pan Herszko! z czem pan do mnie przychodzi? A Herszko zaczyna, jak każdy faktor, ni w pięć ni w dziewięć, od Adama i Ewy, że znał mego ojca, że mnie bardzo szacuje, że wie jaki ja uczony człowiek, ts! ts! że drugiego takiego niema w całém mieście i w całéj Galicyi, że jabym mógł zostać ministrem, że się dziwi czemu ja się o poselstwo nie ubiegam... Ale czegóż pan chcesz, panie Herszko? A on znowu pyta, czy mama zdrowa i czy jest na wsi, czy się mama bardzo ucieszyła, jak się dowiedziała, że ja się mam żenić z taką bogatą panną, bo on się tém bardzo ucieszył i bardzoby chciał, żeby ja się na prawdę ożenił... Ale do kroćset, panie Herszko, ja nie mam czasu: albo pan powiedz, co pana do mnie sprowadza, albo się wynoś!—Nu, ja zaraz powiem: ja chciał dobry interes proponować.—Aa, dziękuję; zapewne chcesz mi pan ułatwić pożyczkę? bardzo dziękuję i wielce mi żal, ale na teraz nie potrzebuję.—Nu, ja wiem, że pan nie potrzebuje, na coby potrzebował taki bogaty pan, co się ma z panną Sarską żenić; ja przyszedłem proponować panu inny interes: czysty zarobek *pięćdziesiąt tysiąców*.—Cóż to za interes? zapytałem śmiejąc się: ja się nie wdaję w spekulacye. —Nu, to nie żadna *szpekulacya*! —A cóż takiego? To już chyba nie czysta jakaś sprawa, kiedy taki zysk ma przynieść. Strzeż się pan proponować mi jakąś brudną szacherkę; mógłbyś ze schodów zlecić.—Na co ja mam zlecić? to czysta sprawa, tu nie ma nic brudnego! Podpisze pan rewers, że pan

się zgadza, żeby wziąć piędziesiąt *tysiąców* za dwa lata i pojedzie pan i weźmie pan, a przez ten czas będzie pan brać po tysiąc guldenów na miesiąc, a resztę za dwa lata!—Nic nie rozumiem, panie Herszko! —Nu, naco pan ma rozumieć! Niech pan pójdzie do adwokata i niech pan podpisze... nu, a mnie faktornego ile pan da? choć z pięć tysiąców za taki *fajny* interes!—Ale dokądże ja mam pojechać po te pieniądze?—Do Chicago, do Ameryki!—Jakto? do Chicago? za dwa lata?—*Ni!* teraz zaraz! i tam pan *będzie zostać.* Tysiąc guldenów na miesiąc będzie pan brać pensyi... ale w Chicago!—Cóż to, nie wiesz głupcze, że ja się mam żenić?—*Ny*, to się pan potém ożeni!—Chwyciłem żyda za gardło: Gadaj łotrze, kto cię tu przysłał!—Ny, czego mnie pan dusi!... nu, jeden pan!—Co za pan?—*Aj waj*! czego się pan gniewa? czy to zły interes?—Kto cię przysłał żydzie?—Nu, *sześćdziesiąt* tysiąców!—Gadaj zaraz!—*Gewalt!* niech mnie pan nie dusi! jeden pan, nu! pan Sarski!—Który Sarski?—Nu, co ja winien, że mnie pan tak trzęsie: pan Lucyan!... Otworzyłem drzwi a pochwyciwszy żyda za kołnierz wyprosiłem go grzecznie z pokoju... Ale zaledwie drzwi zatrzasnąłem, głowa Herszka pokazała się w nich znowu: *Ośmdziesiąt* tysiąców!—Byłem wściekły: chwyciłem laskę do ręki i wybiegłem do sieni. Żyd zmykał szybko po schodach, ale w połowie piętra zatrzymał się jeszcze raz i zawołał rozpaczliwym głosem: *Sto* tysiąców! więcéj nie mogę! *auf meine munes!* jak Boga kocham! niech pan bierze!..... Tak się skończył Mateczko pierwszy akt komedyi.“

„Postanowiłem nie wspominać nic moim paniom ani o tém zajściu, ani w ogóle o tém, że mi wiadomą jest bytność Lucyana. Matka Hieruni z nową wystąpiła prośbą: Familia krzywi się na nas, rzekła ona—że nikogo nie przyjmujemy teraz oprócz pana, a osądź pan sam, czy to podobne; Hierunię takby te wizyty męczyły! Ale zrób mi pan tę łaskę i gdyby pana w tych dniach kto zapytał, czy byłeś u nas, powiedz, że nie. Łatwo mi było domyśléć się z tego żądania całéj taktyki postępowania hrabiny wobec syna. To nie on zmyślił przed Eugeniuszem, że mi dom wymówiono, ale matka mu tak powiedziała, aby zapobiedz jakiejś awanturze z jego strony i uchronić siebie i Hierunię od jego wybuchów. Musiał się tém zaspokoić nieco, bo i one były spokojniejsze.“

„W ciągu dnia w kilku miejscach zdarzyło mi się spotkać z ironicznemi uśmiechami i dwuznacznemi zapytaniami, których właściwe znaczenie dobrze zrozumiałem: pogłoska o zerwaniu mego związku z Hierunią widocznie musiała się już rozejść po mieście. Felunio, obaczywszy mnie na ulicy, przybiegł do mnie z rozpromienioną twarzą i wprost mnie zapytał, czy to prawda, że wszystko zerwane.—Któż ci to mówił? zapytałem.—Tak mówią w mieście, to *dy-*

żurna nowela (1).—Aa, czy tak! powiedz-że im, że ani mi przez myśl nie przeszło zrywać.—Tak! ale hrabina? podobno dom ci wymówiono? opowiadają, że ci drzwi pokazała.—Kłamstwo!—Ah, to się bardzo cieszę. Winszuję ci!—rzekł spuszczając nos na kwintę. I dodał: A o mnie to wszystko prawda, co opowiadają! —Nic nie słyszałem. Cóż takiego?— Dała mi kosza. Ale ja nie głupi, ja wiem dlaczego; ona się w kotlarczyku kocha.—Ha, może być. Bywaj zdrów. — Bądź zdrów. A wiesz, moja matka znowu bardzo chora; był u niéj dzisiaj ksiądz z panem Bogiem.“

„Po téj rozmowie z Feluniem, spotykając znajomych na ulicy i w miejscach publicznych śledziłem wyraz ich twarzy, sposób przywitania i zachowania się w obec mnie. Przyszedłem do wniosku, że wszyscy już muszą wiedzieć o rzekomém zerwaniu mojém z Hierunią, a raczéj o podobném obejściu się ze mną hrabiny, jak ja się z Herszkiem obszedłem. Irytowało mnie to w najwyższym stopniu i postanowiłem koniec temu położyć. Przywołałem dorożkę i przez kilka godzin jeździłem z wizytami. Byłem nawet w takich domach, gdzie nigdy przedtém mnie nie widziano. Wszędzie, gdzie mnie przyjęto, sam pierwszy zaczynałem dyskurs o mém zamierzoném małżeństwie i śmiejąc się opowiadałem o krążącéj po bruku miejskim pogłosce.“

„Na tém upłynął mi dzień. Wieczorem wytłómaczyłem się przed memi paniami, że jestem cierpiący i muszę się położyć, i poszedłem na tak zwaną *męzką herbatę* do hr. Eugeniusza.“

„Zastałem tam do dwudziestu mężczyzn, po większéj części należących do rodziny Sarskich, lub z nią spokrewnionych. Rozparty w fotelu, w nawpół leżącéj postawie obrócony ku drzwiom siedział jedyny nieznany mi z całego grona młody mężczyzna z *gukerem* w oku. Dość mi było spojrzéć na niego, aby domyśléć się, że to Lucyan. Smagły brunet, małego wzrostu, wątłéj budowy ciała, gładkiéj twarzy, bez śladu męzkiego zarostu. Żywy portret siostry! ta sama cera, czoło, nos, usta. Taki sam nieledwie wyraz twarzy. W oczach tylko pewna właściwa mu arrogancya, czy duma. Gospodarz przywitał mnie z przyjazną poufałością, uścisnąłem rękę kilku znajomym i zbliżyliśmy się ku kanapie. Wtedy p. Eugeniusz rzuciwszy okiem na Lucyana zawołał: A, prawda! nie znacie się jeszcze!— i wymienił nasze nazwiska.“

„Wtedy Lucyan, nieruszając się z miejsca i nie podając mi ręki, zmierzył mnie od stóp do głowy i zapytał z arystokratycznym spokojem: Czy to pan głosisz, jakobyś był narzeczonym mojéj sio-

1) *Nouvelle du jour.*

stry?—Nie potrzebuję tego głosić, odrzekłem, bo o tém wszyscy wiedzą.—Ale to nie prawda: panu matka moja dom wymówiła. Roześmiałem się w głos: Wracam ztamtąd—i odwróciłem się w inną stronę, chcąc zakończyć tę szczególną rozmowę. Pan Lucyan stracił zimną krew, którą chciał mi imponować. Zerwał się z fotelu na równe nogi:—Kłamstwo, ja na ten związek nigdy nie zezwolę!—To mi zupełnie obojętne! odparłem z przyciskiem. Przyskoczył do mnie jak kot podrażniony: Czy i to panu obojętne? i podniósłszy rękę, chciał mnie w twarz uderzyć..."

„Pochwyciłem w powietrzu jego drobną piąstkę, drugą ręką ująłem drugą, przycisnąłem mu je obie silnie do piersi i posadziłem go w fotelu. Wszystko to się stało w jedném mgnieniu oka.—Młokosie! rzekłem, trzymając go w téj uwięzi."

„Czy Mama pamięta, jak ja włoskie orzechy rozgniatałem w pięści? jak one trzeszczały w méj dłoni i jak wyglądały, kiedym dłoń roztworzył? Coś podobnego dziać się musiało z rączkami pana Lucyana. Syknął przeraźliwie z bólu, twarz mu się skrzywiła, jakby na nim spróbowano średniowiecznéj tortury, oczy mu na wierzch wylazły. Wybełkotał jakiś frazes niezrozumiały, z którego tylko dosłyszéć można było jeden głośniejszy wyraz: *satysfakcya*."

„Satysfakcyi? rzekłem, a palce jego trzeszczały w mych dłoniach, ja już ją sobie wymierzyłem! A jeżli ci się pojedynku zachciewa, to mnie do niego nie zmusisz, nawet obelgą! Z bratem mojéj przyszłéj żony ja się strzelać nie będę, bo czybyś ty zginął, czy ja, to onaby umarła..." .

„Zwolniłem nieco tortury, a on ostatnim wysiłkiem zachrypiał przez gardło: Wolę niech umrze!"

„Ale ja nie! Rozumiesz pan! Dałem mu raz jeszcze uczuć całą moją siłę i wypuściłem z mych kleszczy. Oczy łzami mu zaszły z bólu, twarz skrzywiona okropnie, ręce owisły bezwładne. Powstał, zrobił parę kroków: Słabo mi! rzekł i omdlał. Pochwycono go w ramiona, wyniesiono do sypialni p. Eugeniusza i złożono na łóżku. A ja obróciłem się do obecnych, którzy jako niemi świadkowie przypatrywali się téj scenie i niewidząc zapasów między nami, nie czuli potrzeby rozdzielenia zapaśników:—Jeżliby kto z panów mniemał, że nie postąpiłem w sposób honorowy, to mu służę! i spojrzałem po wszystkich twarzach. Nikt się nie odezwał, wszyscy zdawali się pochwalać moje postępowanie. Na jednéj tylko twarzy p. Wiktora błąkał się ironiczny uśmiech.—Czy pan może innego jesteś zdania? zapytałem. Zczerwienił się młodzieniec i rzekł: Bynajmniéj! postąpiłeś pan, jak honor i uczucie pańskie nakazywało, ale po tém co zaszło, wy-

maga honor, jak sądzę, abyś się pan teraz sam zrzekł małżeństwa z moją kuzynką!“

„Mój honor wymaga, (odrzekłem szorstko), abym nie łamał słowa danego pannie Hieronimie, dla tego młodzieńczego wybryku, którego jéj brat się dopuścił. Zdaje mi się, że mogę panów wszystkich uważać za członków rodziny mojéj narzeczonéj, a przynajmniéj za przyjaciół rodziny: proszę was zatém i spodziewam się, że zechcecie zatrzymać w tajemnicy to przykre zajście, któreby mogło ubliżać honorowi pana Lucyana. Dbam o jego honor, bo to mój przyszły szwagier!“

„P. Eugeniusz objął mnie w ramiona i ucałował: Zacny, kochany! szlachetnie sobie postąpiłeś, a za to coś teraz powiedział, serdeńko, to i wróg twój uszanowaćby cię musiał! Przepraszam cię za tę przykrość, która cię spotkała w moim domu!“

„Kilku jeszcze obecnych wyciągnęło ku mnie ręce i jedni serdecznie, drudzy etykietalnie dłoń moją uścisnęli.“

„Wystąpił znowu p. Wiktor, prowadząc tym razem pod ramię p. Cypryana, swego ojca, siedmdziesięcioletniego zniedołężniałego starca, który się ledwie na nogach trzyma.—Zdaniem mego ojca, rzekł on, nie idzie tu o to, jakie ma być postępowanie p. Władysława. Nikt z nas nie powątpiewa, że potrafi on bronić swego honoru, ale dopóki nie jest członkiem naszéj rodziny, a nie jest nim jeszcze, dopóty nie mamy prawa przepisywać mu jego postępowania. Co innego Lucyan. On nosi nasze nazwisko i obowiązkiem jest naszym czuwać, aby na honorze nie poniósł szwanku. Lucyan jest najmłodszy z rodziny i niedoświadczony w tego rodzaju sprawach. Mój ojciec sądzi, że winniśmy się zebrać na radę familijną i wskazać mu, co mu teraz czynić wypada...“

„Tak! ja tak sądzę. To jest moje zdanie! — zawtórzył synowi p. Cypryan. A p. Wiktor dodał: Mój ojciec jako najstarszy z rodziny, prosi na jutro wszystkich obecnych tu, szanownych kuzynów do siebie, na godzinę pierwszą! — Tak! proszę na godzinę pierwszą! — potwierdził p Cypryan“.

„Nie widzę powodu tego zgromadzenia — rzekł p. Eugeniusz,— Lucyan serdeńko jest dzieciak i powinien przeprosić Władysława, mnie i nas wszystkich, i poprowadzić swą siostrę do ślubu. Nic mu innego uczynić nie pozostaje, jeśli ma uczucie honoru i serca kawałeczek“.

„Prosimy do siebie, jutro o pierwszéj!— rzekł pan Wiktor i wyprowadził swego ojca pod ramię!“

„Na tem skończyło się to całe zajście. Wróciwszy do domu, byłem jeszcze zanadto wzburzony, abym mógł był pisać do Ciebie,

Mateczko moja droga, i zdać Ci sprawę z takim spokojem, jak to obecnie uczyniłem. Chciałem zresztą doczekać się wprzódy rezultatu owéj narady familijnéj. — Ja tam pójdę (rzekł mi p. Eugeniusz), ale obaczysz, że się tam prawie nikt nie zejdzie: ludzie nie lubią parzyć sobie rąk, serdeńko! Wiktor, ba! Wiktor miał projekciki na Hierunię i to go korci, żeś mu ją zabrał z przed nosa. A Lucyanek! ho, ho, serdeńko, jemu się zdaje, że jego siostra ma suchoty, i o majątek mu idzie, bo swoją schedę już dobrze nadszarpał. Serdeńko, ja znam świat i ludzi! zjadłem zęby serdeńko!“

„Omylił się jednak pan Eugeniusz. Zgromadzenie wczorajsze było dość liczne. Okazało się, że w tym świecie dużo więcej ukrytéj było przeciw mnie zawiści, niżeśmy obaj sądzili. Wiktor, powołując się ciągle na swego ojca, był tego zdania, iż obowiązkiem jest wszystkich Sarskich stanąć w obronie honoru Lucyana i solidarnie zażądać odemnie, abym mu dał satysfakcyę z bronią w ręku. Poczciwy p. Eugeniusz oponował, i po zażartéj dyskusyi, wśród której stronnicy Wiktora zaczęli się jeden za drugim wymykać za drzwi, nakoniec przeprowadził swoje zdanie, aby, jeśli się to uda, sprowadzić nas obu razem i zniewolić do podania sobie ręki. Oprócz p. Wiktora i Cypryana, ostatecznie wszyscy się na to zgodzili.

„Tak tedy skończyła się burza, która zawisła była nad moją głową. Z wielkiej chmury mały deszcz. Wszyscy prawie członkowie rodziny Sarskich okazują mi jak największą uprzejmość. Wiktor mnie unika, a ci którzy z nim trzymają, są wprawdzie ze mną oziębli jak lód i sztywni, jakby każdy z nich drut połknął, ale ugrzecznieni nieledwie do przesady. Opowiadał mi Eugeniusz *Serdeńko*, nie mogąc się uspokoić ze śmiechu, jaką minę ma teraz Lucyan, *zdekontenansowaną*, jak się wyraził. Ręce mu opuchły i nie może jeszcze niemi władać, w jednym palcu lewej ręki podobno kostka przepękła na podłuż. Nie ochłonął on jednak i dotąd jeszcze z swojej wściekłości i zaklina się na swego prapradziada kasztelana, że mnie zmusi do pojedynku. — Ciekawym serdeńko, jakim sposobem? — pyta p. Eugeniusz: użył już środka najcięższego kalibru, bo publicznej obelgi, i odszedł ze wstydem. Już mu nic nie pozostaje, jak chyba zaprzyjaźnić się teraz z tobą albo wynosić się zagranicę“.

„Kończę już, Mateczko droga, ten mój list a raczej pamiętnik z dwóch tygodni życia. Jutro rano list oddam na pocztę, a przed świętami znowu pisać będę. Nie niepokój się Mateczko o mnie i nie martw się moim losem. Ja się już z nim pogodziłem. Przyszłość moja nie całkiem może różowo wygląda, ale życie nawet najszczęśliwszych ludzi nie jest jednokolorowe, lecz z różnych łat złożone, jak szata arlekińska. Zdrów jestem, silny, pogodnego umysłu i odważnie w przyszłość

spoglądam. Z témi środkami i na tém stanowisku, które osiągnę zaślubiwszy Hierunię, będzie można coś zrobić na świecie i być szczęśliwym, czując, że się jest pożytecznym. Byle mi Hierunia zdrową była! Prawdziwie, ja się coraz bardziéj zaczynam przywiązywać do niéj! Stan obecny jéj niezdrowia bardzo mnie niepokoi: kaszel, gorączka, ciągłe omdlenia. Lekarz jednak zaręcza, że to minie".

„*12-go grudnia.* Idę na pocztę oddać list. Ręce Twoje całuję i nóżki Twoje, moja Ty najdroższa, najukochańsza Mateńko. Składam głowę na Twoich kolanach, a Ty mi czolo ucałuj. Kochanemu doktorowi dziękuję z całego serca za odczytanie Ci téj długiej epistoły. A tożto musial narzékać! Przywiozę mu za to ostatnie dzieło Darwina. — Bądź zdrowa Mateńko moja a kochaj Twego syna... *Władysław*".

„Przypisek. „Ciotka była umierającą. Od wczoraj ma się lepiéj, ale niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. — Przed świętami list wyprawię, niechże Mateczka poszle Michała na pocztę"...

. . . .

— Jakiej daty jest ustęp ostatni? — zapytała matka po dłuższem milczeniu.

— Dwunastego grudnia.

— A dziś dwudziesty ósmy. To dwa tygodnie!... Nie napisał przed świętami... Zawsze przed świętami pisze. Czy się tam, co złego nie stało?

— Cóżby się stać mogło?... zapytała Zosia i myśl jakaś nagle błysła jej w głowie. Zapromieniało w oczach dziwne światełko — niby radość. Ale spuściła wnet ku ziemi powieki, jakby się własnéj zawstydziła myśli. Zarumieniła się sama przed sobą,

— Może Hieronima ma się gorzej... wtrąciła staruszka.

— Jejmość! jejmość! ja już kolacyę przyniosę: już przecie czas!— zawołała Kachna otwierając drzwi. — A nakryć przy okrągłym stole, czy tam jejmości dać? Panienka jest, to lepiéj niech jejmość z panienką siada... A panicz, co też tam pisze jejmości? czy tam także taki mróz?... A uciszyło się przecie na polu; wichru już niema, jakby się gdzie podział. Musieli ludzie wisielca odciąć. Oho, już mu to nie pomoże, już mu duszę... odpuść panie Boże... No, przynieść kolacyę? są piérogi ze sérem — takie jak panicz lubi... Ej, ej, mocny Boże, czemu to się panicz z panienką nie ożenił, tylko gdzieś żony szukał za światem, kiedy tu miał pod bokiem. Z miasta żonę brać, to nic warto!... Czy to nie lepiej żonę...

— Przynieśże Kachno piérogi! — przerwała jej staruszka.

X.

Bielutkie usłała Zosi Kachna łóżeczko w małym pokoiku gościnnym, zwanym „pokojem panicza“. On tam zawsze nocował, ile razy przyjechał do Paprotki.

Zimno tam było w tym pokoiku, bo nie był opalany codziennie, piec dymił, ale dla Zosi nocleg ten w pokoju ukochanego, utraconego na zawsze, wydał się prawie szczęściem.

Oglądnęła tę ubogą izdebkę z największą dokładnością, jakby jakie arcydzieło sztuki budowniczej; jakby w muzeum jakiém, zajrzała do każdego kącika, przypatrywała się tym ubogim meblom z plecionéj słomy, temu stolikowi z czarnémi plamami rozlanego niegdyś na nim atramentu. Tu przy tym stoliku on może nieraz pisywał, może dumał o niéj... może układał plany szczęśliwéj przyszłości!... Przed oczyma duszy widziała go wszędzie, jak tam był z nią razem w tej chwili i zwracał za nią jasne swe oczy, tak wymownie wyrażające spojrzeniem to wszystko... wszystko, co się mieściło w świeżo przeczytanym liście...

Ach, jak jéj smutno!...

Stanęła w framudze okna i długo marzyła, patrząc na te szyby mrozem skrysztalone, w których łamały się tak dziwacznie promienie księżyca: niby kwiaty, niby mchy, paprocie, a wszystko białe, zimne, brylantowe...

Nagle ujrzała na szybie wyrytą literę, *Z!*... Łzy jéj się z oczu puściły. Patrzała na nią, wodziła po każdéj kresce oczyma i zdawało jéj się, że z téj jednéj litery odczytuje całe dzieje swéj nieszczęśliwéj miłości i całe dzieje swego życia... Bo już to chyba skończyło się jéj życie! Cóż to za życie bez nadziei, bez przyszłości, bez niego!... On pisał, że mu się śniła leżąca na katafalku. To sen prawdziwy: ona istotnie umarła!...

Ułożyła się wreszcie w łóżeczku, główka jéj w puchowéj utonęła poduszce. — Ach, jak jéj strasznie smutno!... Na téj poduszce pod jéj głową, jego może nieraz spoczywała głowa... Zwilżyła ją łzami dziewczyna i tak, marząc i płacząc, usnęła.

Sen — sen jéj?...

O powieściopisarze, którzy pisząc o zakochanych, nigdy opisu ich snów czarownych lub złowróżbnych pominąć nie możecie!... zapominacie o tém, że młodzi i zdrowi nic nie śnią wcale. Otacza ich we śnie ta boska *Nirwana*, która wedle wiary Buddystów, najwyższą ma być mądrości i cnoty nagrodą, najszczytniejszym ducha ludzkiego

celem, który nam tysiącami żywotów i odrodzeń i tysiącami śmierci okupić trzeba.

Młodzi co nocy umierają: usypiają snem bez marzeń.

Takim snem usnęła Zosia.

Pani Anastazya długo usnąć nie mogła. Kazała Kachnie wygasić ogień w kominku i zdmuchnąć świecę, a sama dla uspokojenia zbyt rozbudzonych myśli, przechadzała się wzdłuż i wszerz pokoju. Przechadzała się z tą dziwną pewnością ślepców, którym w znaném im mieszkaniu nie zagraża nigdy niebezpieczeństwo upadku lub potrącenia się o jaki przedmiot.

Niekiédy tylko, przesuwając się cichemi kroki koło starożytnych, opylonych mebli, lekkiém ich dotknięciem prostowała swoją drogę: to stołu dotknęła krągłego, to sekretarzyka, to etażerki o szklanych taflach, napełnionéj pamiątkami, to szafki z zegarem.

...Przy tym stole *on* z nią niegdyś zasiadał do wieczerzy po pracy całodziennej — a na kolanach jego siedział mały Władzio i szczebiotał wesoło... I widziała oczyma pamięci ich dwóch, najdroższych jéj sercu, patrzących na siebie, uśmiechniętych do siebie. Ale jak fale jeziora poruszone od wiatru, *jemu* troska po trosce przesuwa się po czole... Głębokiém tém swojém, marzącém spojrzeniém na nią patrzy jéj ukochany, zdaje się czytać w jéj duszy i mówić: Nie smuć się, nie smuć, bo jeszczem ja za tobą. Cóż będzie, jak sama zostaniesz, sama... sama... A mały Władzio zsuwa mu się z kolan i obejmuje rączką tę harpię o wyzłacanych pazurach, podpierającą rzeźbioną podstawę stołu — i pyta, czy ona témi pazurami kaléczy... Oh, kaléczy, kaléczy!

...I znowu biega rozswywolony chłopak po pokoju i co chwila pociąga figlarnie za sznurek zégaru a zégar tę samą ciągle bije godzinę... Spóźnia się zégar — rzekł ojciec i przesunął wskazówki. Ojcze, pyta mały, przypatrując się temu: ojcze, człowiek może miéć zawsze tę godzinę, którą zechce?... Nie, dziecko, jak godzina przeminie, to już nigdy nie wraca... — A ten orzeł na zegarze, co trzyma węża w szponach? wąż mu się koło szyi owinął i chce go udusić: czy orzeł węża zdławi, czy go wąż udusi?... — O, mój synu, gdybym ja to mógł wiedzieć!... A mały Władzio zadumał się i ciągle już tego dnia wracał do pytania; czy orzeł węża zdławi, czy go wąż udusi? I pytał matki i pytał wszystkich w domu przez dni kilka: czy orzeł zwycięży, czy wąż?... I gdy mu nikt nie dał pożądanéj odpowiedzi, on drobną rączką próbował sam rozpętać pierścienie spiżowe, okręcone w koło orłowej szyi...

I na rzeźbie téj trzymała teraz czas jakiś staruszka ślepa swą rękę i słuchała jednostajnego ruchu wahadła, zadumana, jakby dziś sama siliła się rozwiązać dziecinne chłopczyka pytanie...

I znowu szła dalej. Jak duch się snuła od kąta do kąta. Słychać nie było jéj kroków, a przez zamarzłe szyby, blade promienie księżyca, padały na twarz jéj smętną, przeglądały się w martwych źrenicach.

O sekretarzyk się oparła.

Tu przy nim *on* zawsze pisywał. Tu przy nim nieraz noc on przy pracy przepędził... A późniéj syn... Tak samo oparty o poręcz krzesła z pochylonem wdół czołem, na które bujne spadały mu włosy... Czoło to samo, te same rysy, ta sama postać — ach, jacyż oni podobni! Dźwięk głosu ten sam i nastrój uczuć i myśli kierunek...

Nigdy go tak nie kochała jeszcze, jak po tym liście ostatnim! Nigdy jeszcze tak jéj serca nie otworzył swego, nigdy nie spojrzała tak w głąb jego duszy, nie rozumiała go tak i nie odczuła tak żywo jego wszystkich uczuć. Tyle lat go kochała jak syna, ale nie przeszło jéj przez myśl, że to ojciec w nim żyje.

I w wyobraźni ślepej staruszki spłynęli oni w jedność postaci i jedném dla niéj stała się tchnieniem i jedném uczuciem miłość ku obydwóm.

Upływała godzina za godziną, a staruszka nie spała.

O czém tak myślała?... Może sama nie umiałaby zdać sprawy z tych myśli. Rozkołysały się uczucia od czytanego listu syna i od łez i uścisków i pieszczot czytelniczki. Tłoczyły się myśli jedna za drugą; jedna drugą popychała. Te wszystkie wrażenia, te wszystkie chwile kilku tygodni życia, które po kolei w synowskim odzwierciedliły się liście, odczuwała matka teraz tak żywo, tak jasno, ale bez ładu, bez porządku, równocześnie prawie. Jakby ponocny kondukt pogrzebu, koło balowéj przeciągając sali, zmięszał się z wesołym masek pochodem, tłocząc się i cisnąc i wypychając się nawzajem. Ci w tę stronę dążą, tamci w ową, ci w koło się kręcą, nie wiedząc dokąd im się udać. I płacz i śmiech i ponura żałoba, niezbłagana jak fatum, i beznadziejna miłość, i melancholijny uśmiech rezygnacyi, i namiętny żal za rajem straconym, i szalona ironia i pełne otuchy męskie postanowienie — wszystko razem... Niedość tych myśli! Wciąż nowe w tym tłumie jawią się postacie. I Zosia szlocha, składając na jéj piersi swą główkę. I patrzy na nią złowrogo czarnemi oczyma Hieronima, jak harpia pijąca krew. I zmarła wieśniaczka z przeraźliwym krzykiem wyciąga ramiona za trupkiem niemowlęcia. I siostra na łożu śmiertelnem cierpkiémi miota na nią wyrazami, dobierając co najdotkliwiéj zaboleć ją może. Rzuca się na jéj syna Lucyan z wściekłością...

w twarz go uderza... pojedynek!... i zamiast syna, widzi męża padającego gdzieś w starym lesie wśród białych buków z skrwawioną piersią na murawę. Ach, jacy oni podobni do siebie: ojciec i syn!...

Czy ona myśli? czy marzy? czy śni?... Czém w niéj jawa, czém sen?

Rozebrała się staruszka i złożywszy na poduszce głowę, przymknęła powieki. I tym samym prądem snuły się daléj w duszy obrazy. Czy sen to był? czy marzenie?

Noc dla niéj nocą i dzień dla niéj nocą: cóż za różnica między dniem a ciemnością dla ślepéj? Jasnym dla niéj—chyba tylko dźwięk, co w ucho wpada. W głosie ludzkim dla niéj kolory i światła. W głosie blask słoneczny i gwiazd migotanie i łuna pożaru i fantastyczny promień księżyca. I wszelkie ona w nim odróżnia odcienia i niepochwytne dla nas modulacye. Jej świat — świat głosu. Zna go ona stokroć od nas lepiej. On dla niej dniem, on dla niéj jawą, rzeczywistością. Wtedy w nim przebywa, gdy głos ludzki słyszy. Obudzoną jest wtedy i trzeźwego ducha — myśli, rozumuje, sądzi.

Ale gdy ją cisza otoczy nocna, znika wtedy rzeczywistość dla ślepéj samotnicy — a świat wyobraźni, świat marzeń i snów, świat wspomnień zamierzchłych z całą zmartwychwstaje w jéj duszy potęgą. On ją owionie innem życiem... inną dla niéj jawą...

Czy ona marzy, czy śni: któż powie?

XI.

Prześliczny dzień zimowy...

Wiatr ucichł, mróz zwolniał, słońce wesoło świeci.

Zajechały sanki przed ganek. Niecierpliwie grzebią nóżką, w śniegu bułanki, parskają ochoczo, dzwonią dzwoneczkami.

— Zosiu, trzeba jechać. Mamaby się gniewała. Miło mi tu z tobą: córki rodzonéj nie kochałabym bardziéj od ciebie, — ale jedź, jedź do twéj ciotki. A jak wrócisz do domu, proś mamy, może ci pozwoli czasem przyjechać do staréj, ślepéj samotnicy... Popsułaś mnie, dziecko moje; tęsknić za tobą będę, jakby za córką.

I łzą rozrzewnienia spojrzały na dziewczynę oślepłe źrenice.

— O pani droga! kochaj mnie pani... bo wiesz, żem bardzo biedna! Pozwól mi myśleć, żem ja twoja córka!

I uściskały się obie serdecznèm uściśnieniem. Ucałowała Zosia jéj ręce, ubrała się w futerko i owinęła szalem, wsiadła do sanek, raźniéj zadzwoniły dzwonki — pojechała.

Westchnieniem pożegnała ją ślepa i usiadła w swoim fotelu przed kominkiem, gdzie już żywym ogniem płonęła świerczyna. — Wesoło bujały w górę płomyki; promieniejące ich ciepło czuła na swéj twarzy staruszka. Zasyczało czasem wilgotne drzewo a co chwila odzywał się wystrzał pękających polan; iskry wzlatywały w górę, jak świetny fajerwerk poetyckiéj fantazyi, który zawsze syk boleści poprzedza, jak ogniotrysk ludzkiego uczucia, którego przeznaczeniem, aby w górę się wzbił i zabłysnął chwilkę i zagasł na wieki. Miłe spektatorom widowisko, rozkoszna słuchaczom rozrywka! ale te płomienie buchające w górę, ten żar co grzeje, te iskry krąg światła rzucające w koło — one zawsze świadczą, że wewnętrznym ogniem trawi się palny materyał — świerczyna, czy serce.

Tak! ale płonąć — to rozkosz. Płonąć — to tyle co żyć. Co życie podsyca, to podsyca płomień, który nas pali, pożéra i w popiół zmienia i w proch. Podsyca życie to, co śmiercią jest naszą.

Zatruty to nektar — lecz upojenie rozkoszne....

— Upiłem się wczoraj, proszę jejmości, i przyszedłem przeprosić!

I uścisnął Michał kolana swéj pani.

— A to ty, Michale. Wstydź się, mogłeś w polu zamarznąć!

— Ja zamarznął, proszę jejmości. Żeby nie wódka, proszę jejmości, co mi grzała jeszcze duszę we środku, tobym był zamarzł na śmierć, przysięgam Bogu! i powieźliby mnie razem z Maryną na cmentarz. Jejmość wie, że Maryna umarła?

Staruszka kiwnęła głową.

— Ale ja nic nie zgubił, proszę jejmości, — nie. Wczoraj Kachna... a to prawdziwa jędza, proszę jejmości, przysięgam Bogu! nie wiedzieć po co jejmość ją trzymał... wczoraj Kachna wyjęła mi z torby dwa listy i oddała jejmości. Przecie oddała?

— Oddała.

— Ale ja nie głupi, proszę jejmości: na list ze zwyczajném pisaniem to się tam nikt nie złakomi, tom je w torbie trzymał, ale jakem wstąpił do Jolka w Podsośniu, bo mnie się z mrozu strasznie głowa kręciła. . to strach, proszę jejmości, co to był za mróz. przysięgam Bogu! to nawet stary Mośko takiego nie pamięta... to proszę jejmości, tak sobie myślę: kręci mi się głowa z mrozu, to się wódki napiję? no, a jak mi się więcéj zakręci? ehe, ja nie głupi, żeby mi kto potem z torby wszystko wyciągnął. A był tam jeden list taki, co w nim pewnie papierowe pieniądze... to ja go wyjął z torby i włożył w baranią czapkę, co ją mam od jejmości, pod podszewkę. Tam go ci nikt nie znajdzie, pomyślałem — i oto jest proszę jejmości!

— Z pieniędzmi mówisz? dlaczegóż ci się zdaje, że z pieniędzmi? któżby mi pieniądze posyłał!

— O, jużci z pieniędzmi musi być, proszę jejmości, kiedy w ramkach, jak obrazek.

— W ramkach? cóż znowu mówisz! jakże list może być w ramkach!

A jużci, proszę jejmości: w ramkach! Niechże jejmość... ach prawda, że jejmość i tego nie obaczy. W ramkach, proszę jejmości! przysięgam Bogu! w czarnych ramkach!

Wzdrygnęła się staruszka:

— W czarnych ramkach?... A... to kartka pogrzebowa...

I pomyślała: Siostra mi pewnie umarła...

Zasępiły się jéj łagodne rysy. Nie łączyły ją wprawdzie z tą siostrą serdeczne stosunki; tak niewiele miały z sobą wspólnego, tak niepokrewne były ich dusze... ale to zawsze siostra! A lata dziecięce na łonie matki z nią razem spędzone!...

— A może to nie siostra?...

I stanęła jéj w myśli Hieronima. Nie widziała jéj nigdy, a zdało jéj się, że ona teraz na nią patrzy nieruchomie magnetycznem spojrzeniem tych czarnych oczu, o którem pisał syn, że mu duszę wypija... Krew na ustach chorego dziewczęcia, blask oczu przygasa .. to jéj śmierć... to ona umarła...

Władysław nie rozpacza: widzi go matka przeczuciem serca. Z założonemi w krzyż rękoma stoi przy jéj łożu, ponury, chmurny; szlachetném współczuciem i litością tylko wzbiera mu serce: nie ma tam miłości... Łza zakręciła mu się w oku — pochylił się nad umarłą i pocałował ją w czoło...

— Będziesz ty jeszcze szczęśliwym — chciała powiedzieć mu matka, ale w téj chwili zjawił się w obrazie jéj duszy obok syna Lucyan...

— Ah! może pojedynek?... może to on? on? Tak długo nie pisał... Może to on nie żyje?

— Kto nie żyje, proszę jejmości?

— On! .. ojciec i syn! tacy podobni!... Czy i śmierć ta sama?. . Daj tu list! daj tu ten list w ramkach! gdzie on?... gdzie on?

— Jejmość go przecie w rękach trzyma!

Przycisnęła go do oczu, przycisnęła go do czoła z rozpaczą, przycisnęła do serca i do czoła znowu.

Straszne to, gdy starzec zakwili płaczem dziecięcia.

Aż Michał się wzdrygnął na ten widok i litość go zdjęła.

— Jejmość! przecie jejmość nic nie widzi!.. kto tam wie, kto umarł... różni ludzie umierają...

Ale ona zaniosła się od płaczu... i tchu jéj zabrakło, czy łez zabrakło i tylko jęk przeciągły dobywał się z piersi. Pięściami cisnęła oczy, palcami je darła, jakby zedrzeć chciała zasłonę, co jéj straszną kryje tajemnicę.

— Jejmość! Boże święty! co jejmość robi?

A ona od oczu, od czoła, wyciągała na przemian ręce w powietrze, to lewą, to prawą, naprzód, przed siebie, jakby chwytać chciała czy światło dzienne, czy ulatujące od niéj widzenie, czy w otchłań nicości zapadające szczęście. Tak matka nad brzegiem przepaści wyciąga ramiona za dzieckiem, co się w nią stoczyło i stacza się, stacza coraz głębiéj i znika jéj z oczu.

— Aaaah!

— Matko Częstochowska! żeby ja umiał czytać!

Czy ona się broni od jakiegoś okropnego widziadła? Ramiona. jak tonący wyciąga przed siebie i szarpie niemi powietrze. Oh, nie siebie ona broni, ona broni dziecko... dziecko...

— Dziecko!—woła przeraźliwym głosem—dziecko moje!...

Wstrząsł się Michał zimnym dreszczem, jakby się wódki napił.

I szczęśliwa myśl przyszła mu wtem do głowy.

— Panienka dopiéro pojechała... musi daleko objeżdżać koło lasu, bo most zepsuty... jabym ją może jeszcze dopędził przez ławę... Jejmość! jejmość! panienka jejmości przeczyta list!

Ocknęła się na ten krzyk jego i na to słowo.

— List! list!... panienka... przeczyta... Michale goń za nią... goń... prędzéj... prędzéj...

I wybiegł Michał z pokoju i popędził, co sił mu stało.

Na podwórzu tylko, spostrzegłszy Kachnę wychodzącą z krowiéj stajni, krzyknął na nią:

— Idź do jejmości, a żywo!

Zastała ją Kachna w fotelu, z głową o wezgłowie opartą, obiema dłońmi serce cisnęła, ciężkim oddechem chwytając powietrze. Po twarzy zwolna ściekały łzy.

Rozpacz—to najstraszniejsza z Eumenid, ale od razów jéj bicza, boleśniejsza jéj groźba, niepewność rozpaczy.

Nie widziała Kachna nigdy pani swéj w takim stanie. Przywiązaną sługę przeraziło to bardzo i odbiegł ją nawet niepowściągniony zwykle pociąg do gadulstwa.

— Jezus Marya! rany boskie! co jejmości takiego? co się stało? czy jejmość chora? gadajże jejmość! co? serce boli?... rany boskie!

Żadnéj nie otrzymawszy odpowiedzi, pokręciła głową, poszła do kuchni, przyniosła szklankę wody, bryznęła kilka razy wodą na twarz staruszki, a potém przybliżyła szklankę do jéj ust.

— No, napijże się jejmość trochę!

Z bezmyślném posłuszeństwem spełniła ślepa jéj żądanie.

Kachna otworzyła flakonik stojący na małym przed nią stoliczku i dała jéj powąchać.

Orzeźwiło to nieco staruszkę, oddech stał się wolniejszy, łzy płynęły obficie.

Nagle spostrzegła Kachna list ów leżący na jéj kolanach. Pokazywał jéj go rano Michał z tryumfem, że go nie zgubił i że tak go schował, że nawet ona nie znalazła.

— Aha! a to pewno ten list w ramkach tak jejmość zafrasował ciężko! Musiał się ten pijaczysko przed jejmością zaraz pochwalić, że to z pieniędzmi, bo w ramkach... a ja mu zaraz mówiła, że to nie pieniądze, ale żałobę znaczy... To jużci chyba musiała umrzeć ta chora panna, co się z nią panicz miał żenić...

Dziwny był skutek tych słów i tego przypuszczenia Kachny i zupełnie dla niéj niespodziewany. Zwykłą reakcyą serdecznego płaczu zmienił się on nagle w śmiech spazmatyczny.

— Matko boska! rany boskie! a to co? Niechże się jejmość tak nie śmieje strasznie! bo aż mrowie człeka przechodzi! W imię Ojca i Syna... dajże już jejmość pokój, bo to grzech wielki tak się śmiać!... i Ducha Świętego. Amen.

I po śmiechu znowu chwila osłabienia i bezwładności, wyczerpanie sił, niby obojętność i apatya.

I cisza. Pryska żar na kominie, syczy drewno, zegar wybił godzinę i idzie daléj miarowym ruchem...

Wzdrygnęła się nagle, dreszcz jakiś ją przebiegł, myśl jakaś nowa zabłysła.

— List! list! gdzie list?

Podałą go jéj Kachna do ręki.

Pochwyciła go niecierpliwie, aby rozerwać kopertę. Palce jéj mimowoli przesunęły się po adresie, uczuła ślepa chropowatość pisma posypanego piaskiem.

— Piaskiem posypane... jak listy méj siostry? Więc to byłby od niéj list?... a więc nie ona umarła... ale kto? kto?... Hieronima?... Hieronima... czy... czy...? ah!

Rozerwała kopertę i rozłożyła zawarty w niéj papier, ćwiartka tęższego od zwykłych listowych ćwiartek papieru, czworograniasta prawie... I przesuwać palce zaczęła po nim.

Nie, nic nie czuje pod ich dotknięciem—nic.

Palce jéj drżą od wzruszenia... Spokojniéj, spokojniéj trzeba przesuwać palcami... Wszak ślepi od urodzenia uczą się dotknięciem palców poznawać duże litery... czemuż-by ona poznać nie miała?... Spokoju, spokoju tylko...

Tu, tu coś jak druk... lepną jéj palce jakby do szeregu dużych jakich, tłustych liter... to tłuszcz drukarski... ach, gdyby ich kształty można namacać, rozróżnić, rozpoznać!... Napróżno!...

— Kachna! Kachna! przecież tyle poznasz! Przypatrz się, powiedz: jest tu na tym papierze krzyż?

— A jużci jest—ot tu!

— Jest krzyż!... ah! tom się nie omyliła... jest krzyż! to czyjaś śmierć, to czyjś grób!... Ale czyj? czyj?

Spazmowym kurczem ścisnęło się znowu serce... Ciężkim oddechem podnosiła się i opadała piersiowa klatka.

A Kachna założyła ręce i patrzy na nią i wzrusza ramionami i dziwi się, ale nic nie mówi. Odbiegła ją chętka gadania. Pojmuje już ona, co znaczy ten papier w ręku pani i ten jéj niepokój i ta męka... Ktoś umarł—a pani nie wie, kto... Westchnęła ciężko poczciwa Kachna...

— Kachna!... to ty?...

— Ja jejmość.

— Nie słychać dzwonków?

— Nie słychać.

I znowu długie, długie milczenie. Ach, jakże długą każda wydaje się chwila!.... A z każdą chwilą niepokój wzrasta, wzrasta. Jak przypływ morza zalewa on serce i płuca i mózg i znowu zwolna opada, aby znów wezbrać za chwilę. Cicho, cicho. Może przeczuciem matki, może jasnowidzeniem boleści odgadnie ona tajemnicę życia i śmierci?... Cicho, cicho!

Nie—nic nie mówi przeczucie—nic!...

O i owszem! mówi—ale jak szatan szydzi tylko, nęka i dręczy—i mówi co chwila inaczéj: i *tak!* i *nie!* i *śmierć!* i *życie!* i z każdem wahnięciem zegaru i z każdem serca uderzeniem kłam sobie zadaje.

To serce matki zbyt niespokojne, aby mogło przeczuwać, myśli się mącą, wirują w głowie... Choćby przeczucie przemówiło, ona nie zdoła odróżnić jego głosu wśród tego natłoku myśli, w téj uczuć zawierusze...

— Ty, Kachna, nic nie przeczuwasz? czy ci tam w sercu głos jaki nie szepce, kto umarł?

— A któżby miał umrzéć? jużci chyba ta panna, co się z nią panicz miał żenić, kiedy jejmość powiada, że zawsze choruje!

— A syn... syn mój żyje?

— Panicz?... ou wa! gdzieby też znów panicz miał umrzéć! taki zdrów, taki mocny, jak—bez obrazy jejmości—jaki chłop a nie pan.

Ach, ta dziewczyna szczęśliwa nie wie o tém, jaką to u panów śmiercią tacy zdrowi, tacy silni umierają czasem...

Zamilkła nieszczęśliwa matka i słucha... Dech przytłumiła w sobie i słucha, czy dzwonków nie usłyszy.

— Cicho Kachno, cicho!...

I cisza... Nic, nic nie słychać. Tylko w kominie lekkie fruwanie płomyków poruszanych przeciągiem. I mokre drzewo przeraźliwie skwirczy i piszczy od żaru, jak mucha dręczona w sieci pajęczéj. I paczy się i pęka wilgotne drzewo z odgłosem trumny świeżo wyciosanéj przez cieślę. I znów cisza.—Cisza... cisza...

I słychać tylko miarowy chód starego zegaru i syk złowieszczy w kominie... I znowu strzał po strzale sypie w górę snopem iskier. Strzał po strzale—jak sygnały wiwatowe w dzień ślubu i wesela, w dzień przyjazdu młodéj pani do domu panicza.

— Kachno! Kachno! słychać dzwonki!

Zerwała się staruszka z siedzenia... wierzy słuchowi swemu i nie wierzy... Nie — nie.

— Ja wybiegnę przed stajnię i spojrzę na drogę pod lasem. Ale jejmość niech siada tymczasem na swojém krześle i niech jejmość nie wstaje, bo mi strach odejść, jejmość ledwie się trzyma na nogach...

. . . .

— Widać, widać, a jużci widać! niebieski szal panienki, czerwona kraciasta chustka Jagny Ceglarzanki i Michał z furmanem z Suchorębu na przodzie. Żwawo pędzą bułanki, już koło figury skręcają, już koło młyna, już koło Józkowéj chałupy... tam Maryna w chacie leży umarła i dziecko przy niéj na ławie, hej może Józek teraz ze mną się ożeni, przecie ja nie brzydsza od Maryny i gospodarska córka?... Aj, toż pędzą bułanki! aż im z pysków się kurzy a śnieg leci z pod kopyt, jak woda z pod koła młyńskiego... hej! jeżeli to ta panienka umarła, co się z nią panicz zaręczył, to jużci pewno teraz się ożeni z panienką z Suchorębu!...

...Musiał Michał jéj powiedziéć o tym liście w czarnych ramkach. Ona pewnie teraz myśli o tém, czy to nie tamtą pan Bóg już zabrał do siebie... I może bije jéj serce prędko, prędko, prędziutko... i tak jéj chodzi w piersi jak zegar, i tu—i tam, i tu—i tam .. Ona, nie ona—ona, nie ona... i cieszyć-by się rada i wstyd jéj się cieszyć cudzą śmiercią... Hej, hej, takie to już to serce ludzkie!

Już bułanki przed dworkiem. Wyskoczyła Zosia, nie widać przerażenia na jéj hożéj twarzyczce, rozpaczy ani śladu. Serce jéj mówi: On teraz twój! twój! Przebiegła przez sień, przez kuchnię—już w pokoju.

A staruszka, chwiejąca się na nogach, już stała u drzwi z nieszczęsnym w ręku papierem, czekająca wyroku.

Porwała jéj Zosia tę ćwiartkę z ręki — spojrzała — chciała krzyknąć...

I cisza—straszna chwila ciszy.

Głos jéj zamarł w piersiach.

A matka pyta: co tam?... co tam?... co tam?... jak przez sen, jak w noc przedśmiertną pyta, budząc się ze snu skazany.

— Co tam?.. co tam?... co tam?...

O nieszczęsna! na co ci słów, ta cisza mówi do ciebie najstraszniejszém słowem!

— Co tam?... co tam?... mów!... mów!...

I z głośnym płaczem rzuciła jéj się Zosia w ramiona.

